

Konrad Strycharczyk: Nazywam się ciekawie, Strycharczyk Konrad, urodzony w Nisku, ale właściwie to w 1923 roku, w pięknym miesiącu, maju, w takim miesiącu przyszedłem na świat. Tak przyznam się, że w takim chciałbym też odejść. No ale korzenie moje sięgają trochę, odrobinę, 12-13 kilometrów dalej do Ulanowa i Rudnika. Do Ulanowa dlatego, że tam stamtąd pochodzi mama, którą zaaneksował młody legionista z krakowskiego, z Chrzanowa. Znalazł się w jakiś sposób, się tam gdzieś znaleźli. No i ojciec opuścił swoje strony rodzinne, tak jak to nakazuje ewangelia, i połączył się w Ulanowie, w Rudniku, w Nisku. Mieszkali potem w Stalowej Woli, ale to wszystko wyniknie w dalszej może mojej rozmowy.

Maciej Żuczkowski: A czym się zajmował pański ojciec?

Konrad Strycharczyk: Mój ojciec ukończył studia malarskie, ale w tym sensie w zakresie malowania kościołów. Życie jednak zweryfikowało to wszystko, bo tych kościołów niewiele, ale powodowały one, że życie całej rodziny automatycznie było uzależnione od miejscowości, w której się malowało kościół, bo to nie tak jak dzisiaj, że jednym kolorem cały kościół i tam w trzech miejscach jakieś tam fragmenty. Ale cały kościół stanowił historię, historię z ewangelii, różne sceny i tak dalej. I ojciec miał współpracowników, którzy też pracowali na tej zasadzie, no mniej więcej jak i w teatrze. W teatrach, jak aktora brakuje dyrektorowi, to sobie z tamtego teatru od kolegi wypożycza w tym czasie, kiedy by mógł być wolny. I gra już w pewnych rolach także i u niego. I to samo było z ojcem, że miał taki, był bardzo dobry, znany, to może ktoś będzie jeszcze pamiętał z Krakowa. Tak pięknie malował Matki Boskiej portret i to w trzech rodzajach: Karmiącą, Częstochowską i taką jakąś Matkę Boską, którą była potrzeba do danego środowiska. No ale to automatycznie powodowało, że jak się skończyło nie za tydzień, miesiąc czy półtora, tak jak obecnie, tym bardziej obecnie są większe możliwości techniczne przetrzymywania, stawiania rusztowania i tak dalej, a wtedy to wszystko było kłopotliwe, to w ten sposób cała rodzina przenosiła. Pierwsze w Rudniku na przełomie 1928-1930 malował kościół rudnicki. I do niedawna jeszcze były te malowidła dawne, a teraz byłem tam w tym kościele, to tak to trochę, no nie chciałbym krytykować, ale tak trochę mi to, tak jakimiś chwilami nawet, tak jakby ukraińskie kolory i takie tylko samo malowidło, bez tych wydźwięków kościelnych. A te kościelne to nie tak łatwo malować, bo ja wtedy byłem dopiero tam, nie wiem, w pierwszej czy drugiej klasie i przyszedłem, jak tam malowali na rusztowaniu, na takim półokrągłym miejscu w suficie, aniołka. Ja mówię: "Ale piękny ten aniołek.", no bo to sam pan Komperna malował. A ja mówię: "No to ja chciałbym takiego". "Ale czy ty wiesz...", mówi do mnie ojciec, "że jakbyś go zobaczył z bliska, to byś się przestraszył". Ja mówię: "Co tata mówi, aniołka bym się przestraszył? Skądże". "No to chodź". I tak asekurował mnie, bo tam z jednej strony się

wchodziło na rusztowanie, a potem tam z drugiej strony, potem znowu z tej i tak coraz wyżej, i w rezultacie jesteśmy na samej górze. A tata mówi: "No spojrzysz teraz na tego aniołka". Ja popatrzyłem i zaniemówiłem, bo on miał jeden policzek taki... a tam gdzieś coś tego... Ja mówię: "A dlaczego on ma takiego?". "No widzisz, to ci chciałem właśnie pokazać. Bo to są właśnie pewne proporcje patrzenia z dołu, a malowania na górze. Zupełnie inaczej trzeba malować tam, żeby z dołu było tak widać, jak powiedziałeś, że to piękny aniołek". No i to już była taka pierwsza moja nauczka, jaki to jest ciężki zawód, bo to trzeba mieć duże wyczucie i orientację, i współpracę z kimś z dołu. I on tam troszkę usytuuje odpowiednio, żeby nie przesadzić z tym wybrzuszeniem czy coś, żeby on rzeczywiście wyglądał ładnie. Ale to skupiłem się na takim drobiazgu. W każdym razie idzie o to, że jak tam skończył, to potem malował koło Chrzanowa, potem jeszcze gdzieś i tak dalej, ale to trwa rok, półtora, dwa, dlatego że i kościół nie ma tych pieniędzy od razu i możliwości techniczne nie są do wykonania tak od razu. Materiały to były przeważnie faktycznie złożone, to się bardzo... trzeba było znać różne tajemnice, w jaki sposób taki... ojciec miał takie cieniutkie jak gdyby blaszki, takie złoto i to dopiero się rozpuszczało, to w jajkach jakieś tam, cuda tam się dodawało do tego, żeby to taki kleistość, spoistość miały, żeby tam się odpowiedni czas trzymały. No więc to... W ten sposób rodzina się przenosiła znowu na rok, dwa, trzy tam, na rok, dwa, trzy tam i dzięki temu byłem też w Borysławiu między innymi, już dzisiaj nie w Polsce.

Maciej Żuczkowski: Mieszkaliście w Borysławiu, prawda?

Konrad Strycharczyk: Tak, tak.

Maciej Żuczkowski: Tam pan zaczął swoją przygodę z harcerstwem.

Konrad Strycharczyk: Tak i nie tylko z harcerstwem, tam miałem trzykrotny, trzykrotne ciekawe przeżycia. Równocześnie prawie, ponieważ nie tylko harcerstwo, ale równocześnie byłem chorążym, bo w tej szkole podstawowej, do której chodziłem, z której potem do gimnazjum zdawałem, to była kaplica i był ksiądz, i tam odprawiały się msze święte. To okazało się w krótkim czasie, że ja zostałem chorążym ministrantów. Podobno najlepiej tę ministranturę znałem, uczyłem się i te obrządki, jak ubierać księdza, gdzie ściągać z tyłu, jak podawać albę i tak dalej. No więc to dwa. A trzecia przygoda ciekawa, to pierwsze, że tak powiem, jakieś uczuciowe sprawy. Była piękna Żydóweczka, taka pulchniutka, taka subtelniutka, nazywała się Linhardówna, Linhard. A Linhard jej ojciec, na głównej ulicy Mrażnickiej, na takiej ulicy jak gdyby korso, do spacerowej i tak dalej, to miał ten ojciec, rodzice mieli największą, najciekawszą i bardzo dobrą cukiernię z ciekawymi ciastami. Tak że nie tylko było uczucie, ale przy okazji także nie brakowało tego. No w każdym razie, jeżeli idzie o harcerstwo, to ono najbardziej rzutowało,

ponieważ do harcerstwa już od dziecka kiedyś miałem zacięcie, jak jeszcze byliśmy na terenie Rudnika, Niska, Ulanowa, ale nie oficjalnie, tylko zainteresowanie właśnie harcerstwem. I tak polubiłem, jak patrzyłem na harcerzy. Natomiast tam wstąpiłem szybko do zuchów, tam już skończyłem zuchów i byłem harcerzem już po przyrzeczeniu. A przyrzeczenie w bardzo ciekawych okolicznościach składałem, bo to było na Wzgórzu Urycz, koło Borysławia, jest takie wzgórze piękne. Tam jest wspaniała polana, tak duża, że cały hufiec, a hufiec to jest wiele drużyn, nie wiem, czy pan wie, i te drużyny miały zbiórkę właśnie wszystkich w galowych swoich strojach, ze sztandarami, ze swoimi także różnymi proporczykami zastępowych i tak dalej. I było tam ponad 500, blisko 600 harcerzy. Ze Lwowa specjalnie przyjechał druż podharc mistrz Trojanowski Zdzisław i odbierał to przyrzeczenie harcerskie, a przyrzeczenie składało... proszę, jaka proporcja. Było nas ponad 500, może 600, a przyrzeczenie składało dwunastu. Więc niełatwo było dojść do przyrzeczenia i zasłużyć sobie na to, żeby już można było składać przyrzeczenie. Ja byłem jednym z najmłodszych z tych, którzy składali to przyrzeczenie. No i to była ciekawostka dla mnie, no piękny księżyc, akurat tak szczęśliwie trafiliśmy. Była orkiestra nasza harcerska, rodziców dużo, taki nastrój piękny, bo w takim okresie, kiedy dzień jest najdłuższy, więc połowa prawie czerwca, to dziewiąta, dziesiąta, to jeszcze prawie było jasno. I potem po przyrzeczeniu było ognisko wspólne, piękne, ale już nocą, już była noc, tak. No i przypinając mi krzyż, druż Trojanowski tak spojrzał na mnie i mówi: "Druhu, drużku, jak harcerzem, to na zawsze. Taka broda, takie spodenki". No i ja się tego trzymam, całe życie byłem harcerzem, jestem i będę, a harcerze nie umierają, tylko przechodzą na wieczną wartę. I dotychczas to zawsze nosiłem, jeszcze noszę, krótkie spodenki, a lubię w Świnoujściu nad morzem pohasać. A brodę? Brodę jeszcze zdążę zapuścić, bo przecież mam dopiero 91 lat. No i w ten sposób już w Borysławiu byłem zastępowym harcerzy i to nawet w pierwszej gimnazjum. I w ten sposób byłem w Borysławiu już po przyrzeczeniu zastępowym. Jak przyjechaliśmy ze względu na to, że wybuch wojny był i rodzice po radzie rodzinnej zdecydowali, że w takich okolicznościach lepiej będzie, jak będą w swoich rodzinnych stronach, to przenieśliśmy się, rodzice się przenieśli do Rudnika. I tutaj w Rudniku razem z kolegą, jeżeli idzie o życie harcerskie, razem z kolegą Zbigniewem Pilawskim, który tu w Szczecinie też był, już go teraz nie ma, poszedł na wieczną wartę, założyliśmy drużynę harcerską pod opieką naszego nauczyciela, porucznika, harcmistrza Cmeli, Bronisława Cmeli z Rzeszowa.

Maciej Żuczowski: A mógłby pan coś więcej powiedzieć na temat jego osoby, na temat właśnie postaci i podporucznika Cmeli?

Konrad Strycharczyk: Tak, mogę bardzo dużo, zresztą, bo nie tylko był opiekunem, okazuje się, że zdradził nam wyraźnie to wielokrotnie, że tym opiekunem to właściwie jest od strony tylko formalnej,

ponieważ my sobie tak doskonale radzimy, że on niewiele ma do, jakieś takie te problemy techniczne, żeby tam uzyskać od dyrekcji szkoły, od pani dyrektor Polański, była wtedy pani dyrektor Polańska. Był profesor Rychel, Syrowatka. I tak w tym okresie właśnie było ciekawie bardzo, bo bardzo była atmosfera niesamowicie patriotyczna, a sam Cmela oprócz tego dużo pisał między innymi i był szczególnie patriotą, bo był po szkole oficerskiej, był porucznikiem. I od niego dodatkowo żeśmy jeszcze to przejmowali, ale nie trzeba było aż tego, ponieważ cały naród polski po 123 latach nareszcie uzyskał wolność. W taki bardzo ciekawy sposób, to wszyscy wiemy, jak to się tam działo, jak Piłsudski pięknie zadziałał, no nie tylko on, Dmowski też. I okazuje się, że cały naród był zespólny i proszę sobie wyobrazić, że wtedy na przykład minister Grabski z niczego, bo ojczyzna dopiero... no zdobyliśmy ojczyznę i co? I trzeba było rząd, wszystko i tak... Minister Grabski na spirytusie i monopolu spirytusowym, i na monopolu zapalczanym postawił gospodarkę na nogi w tym czasie. Ponieważ za parę kilogramów kartofli był litr spirytusu, a litr spirytusu to jest spirytus, to wtedy Baczyński, Potocki, Zamoyski mieli momentalnie swoje wytwórnie likierów, które jeszcze długo, długo po wojnie tamtej ogólnej, dużej, światowej jeszcze funkcjonowały. I te wyroby ich znane były w całej Europie i poszukiwane.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, a jak wyglądał Rudnik w 1938 roku przed wybuchem wojny? Jak to miasteczko wyglądało?

Konrad Strycharczyk: No ja jeszcze chciałbym dokończyć na temat, jeszcze parę słów, a zaraz odpowiem na to pytanie również, chętnie zresztą, bo jeszcze chciałbym mówić o Kwiatkowskim. Kwiatkowski z małej wioski potrafił zrobić piękny port, okno na świat, znane i cenione w całym świecie. Potem, jeżeli się okazało, że zaczyna nam Hitler tutaj grać na nerwach i to może być z nim całkiem wesoło, to błyskawicznie Kwiatkowski na terenie właśnie Stalowej Woli, Sarzyny, Łętowni, Rudnika, w Dębicy, potrafił w ciągu jednego roku spowodować, że po półtora właściwie roku, już funkcjonowała wytwórnia w Stalowej Woli jako piękny nasz obiekt, tworzący bardzo ciekawe dla armii przydatne materiały. A w Sarzynie natomiast robiono amunicję, a w Dębicy pewne części, które były potem do składania. I jak... już chciałem mówić o tym, jak pracowałem w Stalowej Woli, ale przedtem było...

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, chciałem pana zapytać, jak Rudnik wyglądał w 1938 roku, jak pan zapamiętał to miasteczko?

Konrad Strycharczyk: O, to było miasteczko niby niewielkie, ale patriotycznie bardzo, bardzo, bardzo rozwinięte. I młodzież bardzo garnęła się między innymi do harcerstwa, dlatego powstały dwie drużyny. Drużyna harcerska i drużyna, ponieważ było dużo młodszych, którzy się dobijali, koniecznie "oni też by

chcieli", no to jeszcze nie mogli być harcerzami, mogli być zuchowie. Ja wziąłem wobec tego, zmówiliśmy, że Zbyszek był drużynowym, Pilarski był drużynowym harcerzy, ja byłem drużynowym zuchów, a równocześnie przybocznym w drużynie harcerzy. I w ten sposób żeśmy w ciągu jednego roku potrafili załatwić tak sytuację, że już mogliśmy mieć i przyrzeczenie harcerskie składali na miejscu u nas w Rudniku, a w okresie wakacyjnym już był obóz harcerski.

Maciej Żuczkowski: Gdzie ten obóz się odbywał?

Konrad Strycharczyk: Jeszcze powiem na temat przyrzeczenia, bo to jest bardzo ważna sprawa. Przyrzeczenie składaliśmy przy bezpośrednim błogosławieństwie matki naszego patrona, któregośmy sobie obrali, a patronem obraliśmy Lisa-Kulę. I wtedy to była wyjątkowo uroczysta sprawa, bo nie tylko bohatera mieliśmy, ale także jego matkę. Bohater już nie żył, Lis-Kula, a jego rodzice, jego matka jeszcze żyła. I jest piosenka na temat tego, czy to warto by było zaśpiewać, czy nie?

Maciej Żuczkowski: Proszę bardzo.

Konrad Strycharczyk: Dobrze. To śpiewaliśmy... są dwie piosenki rudnickie z harcerstwa. Jedna, to może pierwszą zaśpiewam, hymn, który żeśmy razem ze Zbyskiem ułożyli, częściowo i muzycznie, i słowami, tak się dzieląc. Króciutka, ale był hymn. [nuci piosenkę] "Z Rudnika my, harcerzychów, marzenia nasze górne Idziemy wzwyż po drodze cnót, choć życie nasze chmurne Czuwaj, czuwaj! Czuwaj, czuwaj, czuwaj! Czuwaj, czuwaj! Czuwaj, czuwaj, czuwaj!". Natomiast ta piosenka o Lisie-Kuli jest bardzo interesująca, bo tak trochę opisuje właściwie jego życie. Więc... [nuci piosenkę] "Gdy ruszył na wojenkę, miał siedemnaście lat A serce gorejące, a lica miał jak kwiat Młodzieńczą jeszcze duszę i wątły ramię miał Gdy w krwawej zawieruszy szedł szukać mąk i chwał I śmiał się śmierci w oczy, i z trudu wszelkich drwił Part naprzód, jak huragan i bił, i bił, i bił A chłopcy z nim do boju szli chętnie, jak na bal Bo z dzielnym komendantem i na śmierć jest iść nie żał Lecz świsnęła mała kulka i grób wyryła mu Bohaterowi łożę posłanie wieczne mu Rycerski pędził żywot, rycerski miał też zgon Armaty mu dzwoniły a nie żałobny dzwon I sam nawet wódz naczelny łzy dobre w oku miał Ukochanemu chłopcu na trumnę order dał A wiecie wy, młodzieży, kto miał tak piękny zgon Kto tak ojczyźnie służył, czy wiecie, kto to on? Otwórzcie złotą księgę, gdzie bohaterów spis Na czele ich widnieje pułkownik Kula-Lis". To jest porywająca piosenka.

Maciej Żuczkowski: A kto był autorem tej piosenki?

Konrad Strycharczyk: Nie pamiętam, ale w każdym razie to śpiewaliśmy często sobie jako jedną z naszych pieśni harcerskich, a pieśni harcerskich bardzo było dużo. A Rudnik wtedy, proszę pana, ha, ha! Rudnik miał różne, kilka takich ciekawostek. Miał młyn, obok którego była taka wydma i z tej wydmy skakaliśmy. Z wydmy skoczyć na dół to było ponad 10 metrów, to tak jak wyżej jak, prawie jak z półtora piętra, ale skakało się na piaseczek miękki i skakaliśmy, kto najdalej skoczy. Ale przerwaliśmy tę zabawę, jak jeden z naszych rzeczywiście skoczył najdalej, ale na pięty i bez względu na ten piaseczek coś mu tak się stało, że z trudem, żeśmy po paru dopiero minutach zwrócili mu oddech, bo stracił. O! Tośmy już tam przestali te skoki robić. Ale w każdym razie ten młyn, tam przed tym młynem był taki stawek piękny, więc na tym stawie mieliśmy kilka łodzi, bo tam rzeczka wpadała do tego stawu. No, w tym stawie było mnóstwo ryb, bo jak zwykle zawsze przy przerzucie młynowym to się koncentrują ryby, nawet węgorze. Ale to była jedna z ciekawostek. Druga to, że mieliśmy San pod ręką. Tam wystarczyło niepełny kilometr i takie piękne były brzeziny, faszyna, jak to się mówiło w dawnym... Oni z tej faszyny właśnie wyprawiali te faszyny i robili różne koszykarskie wyroby. I z tych wyrobów koszykarskich Rudnik zaśląnął nie tylko na teren polski, ale nie tylko na Europę, bo całymi transportami szły te nasze wyroby rudnickie aż do Kanady, nieraz nawet i do Ameryki. A teraz jeszcze ciągle Niemcy, jak do nas przyjeżdżają, to tutaj zakupują od przedstawicieli rudnickich, które robią sobie stoiska blisko granicy, właśnie te koszykarskie wyroby nadal. Ale już nie tak precyzyjne jak dawniej. Dawniej te wyroby były piękne. Tu mam jeden obrazek, który pokazuje kościół rudnicki. Jest oprawiony właśnie tak... koszykarską ramką. On ma już 42 lata. I proszę, jak się dobrze trzyma. Przy okazji go pokażemy później.

Maciej Żuczkowski: Rozmawialiśmy na temat Rudnika i skończyliśmy na temat tej tradycji wikliniarskiej. Prawda? A chciałem się pana zapytać o rodzinę Tarnowskich z Rudnika. Oni tam mieli swój majątek, prawda? Zarówno w Rudniku, jak i w Kopkach, prawda? Obok.

Konrad Strycharczyk: Tak, to ja chciałem do tego dojść tylko... Dlatego mówiłem o Sanie, że mieliśmy blisko do Sanu także. Idąc z Rudnika w kierunku na Łętownię, czyli na Leżajsk, do którego szły pielgrzymki i babinki śpiewały zawsze "O Maryjo...", ale czytali tak, jak czytało się w książeczce. "O Maryjo itd., trzy kropki, dwa przecinki, o Maryjo itd.". Więc były takie odruchy szczerzej modlitwy, ale w stosunku do możliwości swojej mentalności właśnie tak śpiewali. Ale to wszystko jedno dawało obraz nie tylko patriotyzmu, ale religijności środowiska. No i tam zamiast jechać w kierunku na Leżajsk, można było skręcić, bo swoją drogą taką, trudno mówić, że polną, bo jednak była trochę bita. Prowadziła ta droga do pałacu hrabiego Tarnowskiego Stanisława, który tam rodzinie miał także jeszcze w Dukli, w Dukli swój drugi, mieli swoje majątki. O Dukli będziemy mówić w związku z obozem harcerskim, ale na razie

jeszcze właśnie chcę wspomnieć, że w tym rudnickim pałacu bardzo dużo się ciekawego działo, bo były przepiękne ogrody, a ogrodnik miał prawo i możliwość z upoważnienia hrabiego, ażeby dla ludności właśnie rozprawiać także różne jarzyny, owoce, bo tak, także był sad. I tak aż serce się kraje, jak się teraz tam podjedzie i zobaczy, że w tej chwili nawet parę cegieł nie stoi równo, a jeżeli nawet są jeszcze gdzieś resztki cegieł nierozebrałe przez środowisko, otoczenie tej miejscowości w kopkach, to wobec tego nie są widoczne, ponieważ pokrzywy przewyższają człowieka. Pokrzywami wszystko już zarośnięte, wszystko już straciło swój urok, a było tak piękne. A mnie się nawet udało ze względu na koneksję, że ojciec tak dość dobrze żył z hrabią, mimo że na początku powiedział, bo graliśmy sztukę kontuszową, ja potrzebowałem kontusz i tak się ośmieliłem prosić, żeby ojciec ze mną poszedł do hrabiego, czy by pożyczył. Więc pierwsza rzecz, powiedział, że rower, żony i kontuszy to się nie wypożycza. Ale potem się uśmiechnął i zawołał kamerdynera i pytał tam o jakiś tam im znany tylko magazyn czyli jakieś starocie wielkie i mówi, że po jakimś tam Augustynie, czy jakiegoś tam, nie pamiętam imienia, którymś z hrabi, który był niewielki wzrostem, może jeszcze się zachował ten kontusz. Jeżeli tam jest w magazynie, jeszcze nawet dodał "jeżeli go mole nie zjadły", a kamerdyner aż drgnął i mówi: "Wykluczone, my dobrze dbamy o to". "No wiem, wiem.", mówi hrabia. „Wiem.” "To zobacz, jeżeli on tam jest jeszcze, to wypożycz panu". I ja grałem w autentycznym hrabiowskim kontuszu. No i między innymi wracam z powrotem do harcerstwa rudnickiego. W harcerstwie byliśmy zakochani także w wojsku. W wojsku, które było niedługo przecież po wojnie, w której, na chwałę całej Europy i dla uratowania całej Europy, zwyciężyli i pokonali bolszewików, bo by wtedy poszli ogromną łuną dalej i mogło być bardzo przykro. I dlatego wojsko cieszyło się wielkim szacunkiem, a wojsko miało... każda formacja miała swoją własną piosenkę. A nam się bardzo spodobała, mnie szczególnie, no ja potem prowadziłem te chóry nasze harcerskie, Tośmy śpiewali piosenkę piechoty. A piechota... można zaśpiewać tę piosenkę piechoty?

Maciej Żuczowski: A którego pułku to była piosenka?

Konrad Strycharczyk: Nie pamiętam, to był 5. PPL, 5. Pułk Piechoty, o ile dobrze pamiętam. I tam ona brzmiała tak: "Ułan swoją ma kobyłę Saper swą łopatę ma Lotnik, o mój Boże miły Ciągłe się pod słońce pcha Artyleria z armat swoich Przed wszystkimi chwali się Piechurowi pozostały Tylko nogi dwie z jajami Bo w piechocie fajno jest Fajno jest Wiara maszeruje fest ...ruje fest Lewa wolna, prawa wolna Środkiem szosy śmiało wal Kto nie służył przy piechocie Temu żal". Więc to była taka pioseneczka niedługa, ale tak dziarska, tak przyjemnie się ją słyszało, że myśmy sobie ją często śpiewali też. No i tak się stało, że mieliśmy możliwość, dzięki naszej akcji, bo był konkurs zrobiony między zastępami i między drużyną zuchów, która najwięcej nazbiera albo kasztanów, albo dziurawca, albo i tam kilka takich sporysz. Sporysz

to jest taka roślina, która zaśmieca zboże i jak się je z nią, to gospodarze chętnie lubili, żeby tę sporysz wybierać im, ale prosili tylko, żeby za dużo nie zdeptać innego zboża. I potem to szło do skupu, taki był specjalny skup zielarski. I mało z tym, jeżeli się wzięło kasztany, które żeśmy obierali z tej skóry czerwonej i one były same, to miały podwójną wartość w sprzedaży, dlatego że oni już nie potrzebowali uruchamiać jakiś tam urzędzeń, żeby tę skórę ściągać. I ten sposób, to był jeden sposób na zbieranie pieniędzy na obóz, bo tam nie było wtedy możliwości, tak jak w tej chwili, tam że dotację, ktoś tam sponsoruje... Nie. Wszystko trzeba było wypracować samemu, bo kraj był biedny i wtedy każdy chętnie, co można było dla kraju, robił i nie pytał, za ile, tylko robił. Dostał coś potem, to dobrze, nie, no to rozumiał, że to jest dla dobra sprawy, dla kraju. Więc myśmy jeszcze oprócz tego sprzedawali bazie w czasie świąt wielkanocnych, robiły się te... i na Boże Narodzenie odpowiednie choineczki, takie małe różne... I to wykorzystywaliśmy znowu możliwości każdego z nas, ten miał ciotkę, tam wujka, ten poszedł do sąsiadki, a tamta... a ta sąsiadka mówiła: "A już u mnie byli ci...". "A to ode mnie pani nie weźmie?". no to ona dla świętego spokoju wzięła też. I w ten sposób, który zastęp najwięcej nazbierał, to tam jakieś wyznaczaliśmy nagrody. Ale to było wszystko dodatkowo na ten właśnie cel obozowiska. Potem okazuje się, tak jak obecnie, SHR, Rzeczpospolita, to są dawne oazy przy kościele, to księża mają większe możliwości, że to zakupują, ubiory nawet z takimi kapeluszami, z tymi pałami i oni przodują w tej chwili jako harcerze. Bo prywatnie jeden z drugim rodzic ledwie zdąża na chleb zarobić, jeżeli w ogóle może zarobić, no to jak jeszcze dziecku będzie kupował strój harcerski i tak dalej. I stąd ZHP pod tym względem jest nieco upośledzony, ale ma swoje walory innego typu, jest zarejestrowany w światowym skautingu, służy większej sprawie i tradycjom harcerskim prawdziwym. Więc na tym obozie byliśmy w Odrzykońu. Odrzykoń.

Maciej Żuczkowski: Koło Krosna?

Konrad Strycharczyk: Tak. Koło Krosna. Tam, gdzie Fredro pisał swoją powieść o mur graniczny, "Zemstę". No i tam w pobliżu były trzy prządkie takie, wspaniałe kamienie.

Maciej Żuczkowski: Rezerwat taki.

Konrad Strycharczyk: Tak, rezerwat. Ale wysokie, one były wyższe niż trzecie piętro. I przepiękne świerkowe lasy tam są. I przez te świerkowe lasy przebiega strumyczek nie szerszy jak dwa metry. I na pewnym zakolu tego strumyka właśnie rozbiliśmy namiot, namioty harcerskie nasze. I tam mieliśmy swoje obozowisko z wypadami właśnie na ten zamek i na inne okoliczne, pamiętające jakieś historyczne dzieje, przygody. A natomiast przy ogniskach skupiały się trzy albo cztery, nieraz pięć wiosek, z pięciu

wiosek po kilka kilometrów przychodzili do nas na ogniska, tak im się podobały te nasze... No i przy którymś ognisku, ja je przeważnie prowadziłem, przy którymś ognisku wyrwało mi się, któraś z gospodyni, ja mówiłem, że dzisiaj słaba była widocznie kolacja, przygadując harcerzom, że tak coś ciszej śpiewają. A któraś z gospodyń na to mówi: Oj, a chłopacku, a jakbyś wam coś może pomogli, coś ugotować?". A ja prędko powiedziałem: "No jeżeli ugotować, to tylko takie rzeczy, których my w ogóle nie możemy tutaj zrobić". - "A jakie to są?". - "A to są pierogi". Przecież my pierogów nie możemy, czy to z jagodami, czy ruskie, czy inne z truskawkami, nie wiem, jakie, ale to by się chętnie zjadło. Ba, ale to na 32 chłopów zrobić, to nie jest takie proste dla nas. A ona mówi: "Słuchojcie, dziewczuchy, a zrobimy im niespodziankę i robi im pierogi?". A tam z różnych miejsc, z ogniska: "No pewnie, ja też mogę", "to może ujadźmy, bo ona mo tam...", już od razu mówią, jakiś piec większy, czy coś, nie. No i jeszcze: "A kiedy byśta chcieli?". Ja mówię: "No przecież tylko w piątek, bo w piątek się nie je mięsa, więc byłyby pierogi, jakbyście byli uprzejmi". "No to w piątek najbliższy, no dobrze". I rzeczywiście, takim małym wózcikiem, co się ciągnie, tak jak to na wsiach mają, na ten, były dwie takie platformy, na tych platformach urządzenia, żeby te pierogi w brytfannach, gorące jeszcze prawie, przynieśli, nie tylko ugotowane, ale jeszcze na tych brytfannach podsmażone w tłuszczu. To była naprawdę frajda, bo to tam niektóre były właśnie w tłuszczu, a niektóre, które były na słodko, bo tam wtedy, zdaje mi się, już były różne owoce, z owocami, to były tam ze śmietaną i tak dalej. No i rzeczywiście, to takie miłe wspomnienie, że kontakt ze środowiskiem był bardzo przyjemny i że żeśmy mogli zrobić im radość swoją osobowością, naszymi programami harcerskimi, a oni nam się odwzięczyli. No ale to niestety trzeba było skończyć wcześniej. Przyszedł rozkaz z Komendy Chorągwi ze Lwowa i telegram, telegraficznie: "Proszę natychmiast związać obóz i wracać do bazy.", a to było już pięć dni przed 1 września. Myśmy też już coś tam słyszeli, że ten, a to okazuje się, że równocześnie z tym rozkazem przyszło zawiadomienie do naszego opiekuna Cmeli Bronisława właśnie, porucznika, że ma się stawić w związku z mobilizacją u siebie w swojej jednostce. On mówi, widzicie, no to natychmiast zwijamy, idziemy. I w tych samych kotłach, które żeśmy gotowali, nie było tam kucharek jakiś, tak jak dzisiaj, różne tam gospodarczy jedzie, zakupujący towary i tak dalej. Tylko wszystko to załatwiał zastęp służbowy, który miał codziennie inny zastęp, miał służbę i tak gotował, jak umiał, różnie to bywało, to też możemy wspomnieć na ten temat coś. Ale w każdym razie wróciliśmy i w tych kotłach na dworcu kolejowym w Rudniku gotowaliśmy w jednym kotle stale tę kawę wojskową, takie kostki nam dawali, tam się wrzucało, to taka fajna była ta kawa wojskowa, już od razu słodzona, taka niby jakby z mleczkiem. A w drugim zupeł. I codziennie inny zastęp miał dyżur. I jak już jechali, już nie normalnymi pociągami, tylko tymi wagonami ciężarowymi, jechali żołnierze do swoich jednostek, bo do dzisiaj, do niedawna jeszcze był ten zwyczaj, póki mieliśmy armię, bo teraz w ogóle nic nie mamy, to

jeszcze ciągle był ten zwyczaj, że ze Szczecina to mieli na Mazurach, a z Mazur przyjeżdżali tutaj do nas. To wynikało prawdopodobnie z tego, że żołnierz nie miał możliwości na noc, czy gdzieś tam uciekać do dziewczyny, bo byłby się robił rzeczywiście taki kłopotliwy moment, jak wiara w nocy się rozchodzi, a rano jest nie wyspana, udaje, że spała i na ćwiczenia. I to z tych względów jechały całe te transporty, jak się na chwilę zatrzymał na te dwie, trzy minuty na dworcu, to już błyskawicznie jak oni zobaczyli, że są kotły, że ten tam nalewa, to jak się za to... To dwie, trzy minuty wystarczyły, że kocioł już był rozlany. I już trzeba było szybciotko szykować, gotować następną zupe, zanim się pojawił jakiś następny transport, a było ich dużo. No więc tak, w ten sposób już żeśmy rozpoczęli współpracę z przygotowaniem do wojny.

N0763_kr_FINAL_2_5_1

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, zanim jeszcze zapytam pana o wrzesień 1939 roku, to chciałbym pana zapytać jeszcze o jedną rzecz, bo wchodził pan do gimnazjum w Stalowej Woli, prawda?

Konrad Strycharczyk: Tak, tak.

Maciej Żuczkowski: Jakby mógł pan powiedzieć, jak wyglądała Stalowa Wola wówczas, bo tam to było miasto takie sztandarowe, prawda?

Konrad Strycharczyk: Nie, nie, nie. To tak się złożyło właśnie, na początku, jak mówiłem, na początku, jak mówiłem, gdzie się rodziłem i tak dalej, to mówiłem, że zmieniamy... że to się z biegiem czasu życie zweryfikowało z kościelnego na normalny zakład malarski. I ojciec właśnie... między innymi w Stalowej Woli była taka olbrzymia firma "TRI" - Towarzystwo Robot Inżynierskich. I oni mieli podzieloną swoją, ten miał murarkę i tam jakieś ten, ten miał elektryczne wyposażenie i tak, a tamten miał sprawę malowania, wykańczania. To, co inni nie dokończyli, czy tam spitolili, to malarz przeważnie to wszystko tam, musieli trochę jeszcze podkitować, poprawić i pomalować ładnie. I okazuje się, że w tym czasie właśnie ojciec zatrudniał 28-30 ludzi, miał pięć brygad. Brygadzysta miał... pracowali na akord. Nieważne było, czy on będzie robił całe 24 godziny, grunt, żeby ten i ten odcinek, te cztery bloki muszą stanąć na ten i ten termin. I w taki to sposób powstawały osiedla. Pierwsze robotnicze, potem urzędnicze i na końcu dyrektorskie. I tak Stalowa Wola w tej chwili stoi, takimi blokami i takimi osiedlami. Są takie zbiorowe dla robotników. I myśmy, przyjeżdżając do Stalowej Woli, mieli niedaleko z dworca, bo gimnazjum było właściwie około 350 metrów od dworca, a w gimnazjum rygor prawie wojskowy. Dlaczego? Bo pułkownik Habdank-Kossowski był dyrektorem szkoły, a jego żona prowadziła polonistykę, była polonistką wtedy. I nie daj Boże, jakby przechodził, nie tylko dyrektor, nauczyciel, a ktoś by miał rękę w kieszeni czy coś, czy nie stanął na baczność, jak on przechodzi, i na chwilę musiał przerwać rozmowę czy coś. I dopiero jak

przeszedł, bo wtedy jakby tak to dyrektor widział, to [niezrozumiale, 00:03:06] przyjacielu, zgłosisz się do mnie jutro do gabinetu z pozaszywanymi wszystkimi kieszeniami. I potem miał polecenie, że tak ma chodzić tydzień, dopiero mu można od ten... Mało z tym, to kilka dni musiał się meldować, czy jeszcze są zaszyte. I takie to... mówię o drobiazgach, ale to po to, żeby wskazać, jaki był rygor wtedy. Nie tak jak teraz, jak przechodziłem, widziałem na przerwie. Jak wpadł na nauczycielkę, to ona z trudem uratowała się, bo jeszcze się oparła o ścianę, bo inaczej by upadła na ziemię. I ani nie przeprosił, ani nic, tylko poleciał dalej i tam dalej rozróżba. Mało z tym, tam podobno wiadra zakładają nauczycielom na głowę, o czym wtedy tam nie można było. Jeżeli minister Kasprzycki, minister wojny, Kasprzycki przyjechał do Stalowej Woli na jakąś uroczystość, to zapowiedziano, to ja z Rudnika zabrałem, Zbyszek prowadził drużynę harcerską, a ja zuchów. A ponieważ miałem drużynę Indian, więc wszyscy byli w indyjskich tych, mieli swoje tarcze, łuki, tylko wyjmował strzały. A ja byłem, tak jak przystało na wodza Indian, aż po bokach, takie miałem, aż prawie do kolan, takie pióra wspaniale robione przez nasze dziewczynki, harcerki. No i w rezultacie, jak żeśmy przyjechali na tę defiladę, to ja ich nauczyłem, słuchajcie, przed trybuną, jak będziemy, ja się odwrócę i krzyknę nasz umówiony sygnał indiański. I wtedy każdy sięga za strzałę, zakłada i strzela ponad... A ja przed tym sprawdziłem, że trybuna była w tym miejscu, a za nimi, no normalne, lasek taki, jak wszystko w Stalowej Woli wtedy, lasek i takie piaseczki, ludzi nie było. Ale, mówię, przypominałem im, wszyscy pamiętajcie, bo będzie niesamowita przykreść, jeżeli któraś strzała, nie daj Boże, padłaby na trybunę. No i faktycznie, ja się odwracam i krzyknąłem: [fonetycznie] "Maruza tulla sziku lawinta lawakamba!". No i oni za te strzały, zakładają, a Kasprzycki jedynie stał, tak twardo murem ani nie drgnął, ale tam różne osoby towarzyszące, to tak głowę w ramiona chowały, widząc, że oni wszyscy w kierunku tego właśnie... tego stoiska, gdzie były te władze. No i faktycznie to się udało, to nikomu nic nie robi, bo strzały poszły górą, ale potem prasa pisała, że wódz dobrze wyszkolił swoich Indian, bo nie pozabijali nam ministrów. No i w ten sposób harcerstwo tam się rozwijało i było tak zgrane, że potem jak przyszedł okres wojenny, to w tej chwili można jeszcze czytać książki Lustiga, nie wiem, czy ktoś z państwa to czytał. - I tam jak...

Maciej Żuczkowski: O "Orlętach", tak?

Konrad Strycharczyk: Tak, o "Orlętach", tam Mandeccy, bracia Mandeccy szczególnie. Jeden z tych Mandeckich to na obozie harcerskim, ja tu potem jak będę pokazywał zdjęcia, to można będzie zobaczyć, jest w pismach rudnickich, tam jest zdjęcie, jak zeskoczył z sosny, bo tam coś zerwał, suche gałęzie były, bo nie wolno było żywych i skoczył, a to było w dniu, kiedy rozbijaliśmy jeszcze namioty. I jakaś deska była z gwoździem sterczącym i on na tego gwoźdź, i nadział się całą stopą. Tam momentalnie Zbyszek

Pilarski, ja, zrobiliśmy, odpowiednio zaopatrzyliśmy go na pierwszy moment, no i później pojechał do lekarza, który pochwalił, że to wzorowo było tuż po wypadku zrobione. On nie miał wiele do robienia, tylko zdezynfekował mocniej. I to się tam niedługo zrosło. Ale jeden z tych braci Mandeckich właśnie był potem bohaterem, szczególnie zresztą jak pan słyszy, że pan kiwa głową, to znaczy, że pan to czytał. I ja od tego Lustiga mam list, który do mnie pisał teraz, jak byłem w Lublinie, jak byłem w Lublinie w 1990 roku, jeszcze żył, i pisał do mnie list, jak dalece jest wdzięczny nam, żeśmy tak młodzież wychowali. Bo potem jak się zaczęły okupacyjne okresy, to w tym czasie myśmy robili tajne zbiórki, ale to się nie nazywała zbiórka, tylko ja mówię: "Słuchajcie, druhowie, myślę, że warto, żebyście wzięli wędkę i jedziemy do Chruściny, nad San i tam sobie połowimy rybki. A tu nie chodziło o rybki, tylko tak wszyscy byli umówieni, że nie wolno było powiedzieć słowa "zbiórka", słowo "ćwiczenia", słowo tam, a tam żeśmy odpowiednie robili szkolenia, które były potrzebne do walki już później w Szarych Szeregach. I tam, teraz jak na spotkaniach mówię, to na spotkaniach rozpoczynam, to zawsze spotkania tym, że proszę pamiętać, że wrzesień to był trzykrotnie ważny, przeżywał moment. 1 września - wybuch wojny, 17 września - chamski nóż w plecy i 27 września - wejście jednego państwa spośród wszystkich okupowanych, jednego państwa, które postawiło się okoniem okupantowi i poszło do podziemia. Kiedyś na jakimś spotkaniu któryś z młodych ludzi mówi: "A czemu oni to... Oni do piwnicy poszli, do podziemia?". Więc musiałem to wyjaśnić, co to słowo "podziemie" znaczy, że do konspiracji poszedł rząd, wszystkie ministerstwa, takie same jak normalnie funkcjonowały, wojsko i harcerstwo, a harcerstwo stanowiło przedłużone ramię Wojska Polskiego Armii Krajowej, a potem WiN-u, Wolności i Niezawisłości.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, chciałem pana zapytać właśnie o wrzesień. Jak pan zapamiętał wrzesień 1939 roku w Rudniku?

Konrad Strycharczyk: W Rudniku to może dobrze by to było przeczytać, a ja to powiem, ale dam wam materiały, bo jeszcze żyję. Pani Zofia, wtedy nazywała się Zosia Baran, mieszkała naprzeciw mnie na ulicy Ulanowskiej i spadły bomby niemieckie. Zginęło wtedy kilka osób. Jak potem popatrzyłem, to ciężko było się zorientować, co to jest. To była taka kupa roztrzebanego mięsa, ciało takie, ale to kilka osób. Ale ja jako ten, właśnie harcerz miałem taką piękną skórzaną torbę, w której miałem wszystko, to apteczka była, wszystkie leki, łącznie z dezynfekującymi, jak i potem do... A wtedy nie było służby zdrowia, lekarzy, tylko jedyny doktor Chernich był na cały powiat prawie, a w każdym razie na okolice Rudnika. I on miał tak zorganizowane pięknie swoje biuro, że jak się człowiek rodził, to on musiał przyjąć poród. Zanotowywał go w swojej księdze i potem tylko dopisywał. Za dwa lata to on miał tam... to trzeba ślepą kiskę, dobra. Potem kosą go zaołał tam jakiś tam przez przypadek i tak po kolei, potem miały zapalenie

uszu. I tak jest historia tych poszczególnych. I on każdego obywatela z naszego terenu prawie znał na wylot, bo od urodzenia do czasu, kiedy jeszcze tam żył. No więc to powodowało, że ja, jak spadły bomby, natychmiast wyskoczyłem z domu z tą torbą, jak przeleciały bomby i patrzymy, co się dzieje. I właśnie ta pani Zosia Baran, w tej chwili Zofia Chmiel. Chmiel to jest doktor, który bardzo dużym działaczem był na terenie Rudnika i napisana jest piękna książka Chmiela, "Rudnik. Miasto nad Sanem". [Historia jednego miasta nad Sanem] Czytał pan, zdaje mi się, też tę książkę, właśnie. I jego żona, on już nie żyje, ale jego żona, teraz na moją propozycję napisała to wspomnienie z tego uderzenia samolotu, tej bomby. Opisuje dokładnie, jak to było i że ona była ranna w ramię. I ja wybiegłem i ona mówi, nie było żadnych możliwości, bo lekarz jeden na cały ten, a tu wyskoczył harcerz, pan Konrad Strycharczyk i spytał, co się stało, a ona już miała tę [niezrozumiałe, 00:14:14]. Więc zrobiłem opatrunek szybko, pięknie, zawiązałem ładnie i już pobiegłem dalej pomagać innym. Więc to daje obraz właśnie już od tamtego okresu, jak działałem w tym środowisku. Ale niedługo, ponieważ... Mogę już jechać dalej z życiorysem, tak?

Maciej Żuczkowski: A pamiętam pan jeszcze, zapytam o jedną rzecz, o wejście Niemców do Rudnika?

Konrad Strycharczyk: Wejście Niemców do Rudnika to było właściwie tak sprytne i tak ciche nocą, że zajęli całe miasto, żeśmy prawie nie wiedzieli i od razu nagle jest okupacja niemiecka i tak dalej. I to wprowadzili ich porządki, na skutek tych porządków właśnie, jakie robili, to młodych zabierali i mnie zabrali, miałem wtedy 16. rok życia. Rozpoczynałem... mnie zabrali do budowy mostu w Ulanowie, ale nie tak, że się szło wieczorem do domu i coś tego. Ja w Ulanowie miałem te możliwości, że tam będzie rodzina, bo dziadek był, ciotki.

Maciej Żuczkowski: Czyli rodzina Kuchtów, tak? Z Ulanowa.

Konrad Strycharczyk: Kuchtów, tak. Skąd pan wie?

Maciej Żuczkowski: A to pisze pan o tym też.

Konrad Strycharczyk: No tak, tak. No i tam właśnie... to ja tam trochę tam cichutko dostawałem coś do zjedzenia w kieszeń, tam, jak przechodził ktoś, żeby nic nie widać było. Bo to nawet przed towarzyszącymi pracownikami naszymi, polskimi, to tak trzeba było, bo to przykro, że ten ma, tamten nie ma, ja komu mogłem, to się tam podzieliłem. No i tam byłem przy budowie tego mostu w Ulanowie. Teraz już jest drugi, już tamten zlikwidowany, a jest nieco, jakieś pół kilometra dalej, przy ujściu, bliżej ujścia. Zbudowany bezpośrednio od drogi, która prosto prowadzi. A przedtem to był bardzo przykry zakręty na dole, tam dużo wypadków było, ale tak kazali budować wtedy.

Maciej Żuczkowski: A pamięta pan, jakie warunki były pracy przy tym?

Konrad Strycharczyk: O tak, oczywiście, to okropne były warunki. Najbardziej przykre było noszenie tych zapalek.

Maciej Żuczkowski: Zapalek, czyli?

Konrad Strycharczyk: Nazywaliśmy to zapalka, ale to były te przynajmniej 50-60 centymetrów grube bale, zaczopowane, zaszpicowane u dołu, u góry tam zabezpieczone taką obręczą, dwukrotnie zaciśniętą obręczą, po to, żeby tę zapalkę, a to myśmy to nazywali zapalka, ona miała około 10-11 metrów. I tę zapalkę niosło 8-10 najwyżej chłopców, bo to właściwie byliśmy wszyscy prawie chłopcami jeszcze, no było kilku starszych też. I po jednej stronie i po drugiej, umiejętnie trzeba było na odpowiedni okrzyk wznieść do góry szybko i jak już była na wysokości ponad ramionami, to wtedy już było szczęście. Ale cały problem, najtrudniejszy, najgorszy był przy zrzuconiu, ale doszliśmy do takiego... no praktyka wszystko potrafi ułatwić. Zorientowaliśmy się, kiedy, na jaki okrzyk, która strona ucieka, bo zależało od tego, na jakim byliśmy terenie, jak równiutko, to inaczej się zrzucało, a jak była pochylona ziemia w tym miejscu, gdzieś mieli zrzucać, to zupełnie inna metoda, jedni uciekali tam, a inni tam, to już mieliśmy tam. A to była taka trudność, bo tylko jeden raz przez cały czas jak byłem, póki ja byłem, bo tam dalej trwała jeszcze budowa, a mnie zabrano, skierował Arbeitsamt właśnie do Stalowej Woli, do huty. Huta nazywała się Hermann-Göring-Werke, filia Hermann-Göring-Werke. No to miała być wielka dla nas satysfakcja, że oni aż ją nazwali swoją filią. No ładna mi satysfakcja.

Maciej Żuczkowski: Na jakim wydziale pan pracował w tej filii?

Konrad Strycharczyk: No więc pracowałem na kilku, pierwsze pracowałem na kuźni, na młotach i tam jako steuermann, to znaczy ten, który bije tym młotem, bo drugim, inni to byli kowale, którzy brali do białości rozgrzane żelazo, szybciotko na kowadło i tam pierwsze było mi mówione, ile ma być, on pilnował, kowal, to już jego była robota, żeby w takiej grubości, jak tam wymaga. Ale ja musiałem z grubsza to wiedzieć, bo od tej takiej bryły trzeba było wykształtować albo płaskownik, albo kwadrat, albo ten i tak. I doszedłem do takiej wprawy, proszę sobie wyobrazić, że to jest prawie nie do uwierzenia. Kolega kładł 20 fenigów, 20 fenigów, już nie grubszy pieniądz, tylko te małe drobne, tak jak teraz 20 groszy. I ja biłem tak, że fenig podskakiwał i ja następnie go uderzałem, a nie spłaszczyłem. Tak dalece byłem wyspecjalizowany już. Ale to był młot nieduży, bo był 300-kilogramowy. Na tym 800 i potem był jeden też młot 1000-kilogramowy, to nie wiem, czy bym dał radę, nie próbowałem, ale na tym moim 300 kilo właśnie tak wypracowałem. Ale to był początek. Potem okazuje się, że wyznaczano... kierownik

tego... bo ja byłem na kuźni, bo tam była kuźnia, stalownia, hartownia i wiele innych oddziałów. To na tej kuźni ten szef dostał od szwabów polecenie, żeby dać tam kilku na kurs sanitarny. No to i on mnie skierował. Tak skrzywiłem się, nie wiedziałem, o co chodzi, ale okazuje się, że to było bardzo dobre dla mnie potem, bo jak się skończyły, to ja miałem swoje ambulatorium, tam była taka nawet leżaneczka i tam miałem dyżury. Moja praca polegała na tym, że ktoś miał wypadek, a wypadki były przykre. Tam na przykład były nożyce. Nożyce, które półtora centymetrowej grubości blachę to tak cięły jak w tej chwili tę pokrywę od puszki od konserw, leciutko szła. Ale ten człowiek, który to obsługiwał, żeby przyłożyć, jakby krzywo położył, to ona zachwieje i nim. Więc tego się pilnowali, ale coś tam zrobił, jakoś za późno wziął rękę, jak przykładał i palec mu przecięto, ten duży palec, idealnie w środku. I on przyszedł do mnie, ale jeszcze miał tyle siły wewnętrznej, to to był kawałek, tam ze 35 metrów do tego mojego ambulatorium. Całe szczęście, nie trzeba tam klamki, było nic, tylko były drzwi wahadłowe, specjalnie, żeby jak ktoś nie ma siły, żeby tylko popchnął sobą i wszedł. I on wchodzi i tylko patrzył na mnie. Jak zobaczył, że ja już to widziałem, to już mdleje wtedy. Takie są psychiki ludzkie, niestuszne i dobrze. No to ja, pierwsza rzecz, że go tam ocuciłem, miałem amoniak, ale potem, jak już zaczął powietrze łapać, wtedy wziąłem się za ten palec. Spojrzałem i normalnie to by każdy jakiś sanitariusz polał jodyną czy czymś, żeby dezynfekować coś. Ja nie, ja wziąłem złożyłem go tak, jak jest, dwoma klamrami, tylko takie małe miałem klamerki, nie mogłem całość złapać, tylko te końcówki, żeby to się trzymało. Zawinąłem, w międzyczasie dzwoniłem po pogotowie. Przyjechało i zabrali go do szpitala. I potem, jak już się znalazł w szpitalu, to oni mu dopiero to porządnie tam... zrobili, co trzeba, fachowo. I on po trzech miesiącach przyszedł do mnie z dużą osetką masta i taki zwój kiełbasy. I mówi: "Dzięki tobie, chłopie, ja tu mam ten palec cały i już nawet zaczynam zginać. I oni mówią, że będę zginał jeszcze tu też". Tak że to jest od niego. A natomiast zaraz za trzy dni od szpitala dostałem na piśmie, nie wiem, czy od tego szpitalnika, czy od naszego kierownika, pochwałę, że w właściwy sposób zachowałem się w stosunku do tego. Inny ciekawy przypadek był, to była pięta. Jak kowal przyłożył, żeby odciąć pewien kawałek, to jak jest duży kawał taki, to obetnie i on spada. Ale jak został tylko mały kawałek i tam na to młot był 500 kilo, jak przyłożył, żeby obciąć, to ten kawałek, jak poleciał, to towarzyszącemu obok, bo tam młot przy młocie jest, który kuł właśnie kowalowi, w piętę. I tak to była rana cięto-parzona, pieczona. No i znowu tam ktoś, jaki bałwan by może to polał czymś tam tego, a ja to wszystko tylko tak zdezyn... dookoła oczyściłem, a samej rany nie dotknąłem i dostałem drugi raz tę pochwałę. No to mnie wtedy wzięli na sanitariusza do straży pożarnej. A w straży pożarnej, okazuje się, wygrałem na tym, ponieważ konspiracja nauczyła mnie, że tam jest wydział specjalny, dodatkowe, bardzo trudne do uzyskania trudne, przepustki musieli mieć ci, którzy na ten oddział wchodzili, to było tak zwane szabrowanie. Co to było szabrowanie? To szabrowanie to tutaj u nas robili,

jak przyjeżdżali na nasze ziemie. i pierwsze, szabrowali, potem dopiero się osadzali. No ale tam polegało to na tym, że lufą armatnią szabrowało się, czyli gładziło się do jednej setnej milimetra i wystarczyło. A myśmy w straży pożarnej mieli służbę, dyżury i "feuerlöscher", to te... to są te... po polsku "feuerlöscher" to...

Maciej Żuczkowski: Gaśnice? Czy...

Konrad Strycharczyk: Do ratowania, do...

Maciej Żuczkowski: Gaśnice takie? Czy...

Konrad Strycharczyk: Tak. Nie, to... - Te, które...

Maciej Żuczkowski: Sikawki takie.

Konrad Strycharczyk: Sikawki takie, które wisiały tam. Każda miała swój numer, trzeba było zatwierdzić, napisać, że ta jest sprawdzona, tam tę trzeba zmienić, bo jest na ten i tak dalej. I tylko straż pożarna z Polaków, bo tam tylko Niemcy wchodzili, miała prawo tam wejść, żeby te feuerlöscher i tam inne sprawy bezpieczeństwa pożarnego zabezpieczać. I mnie nauczono, że wystarczy, żebym miał taki, jak na... w Środę Popielcową się księża na głowę, trochę takiego popiołu, ale nawet jeszcze bardziej miękkiego, bo ten to jeszcze by, to by się widziało, to by ktoś zauważył, że coś. I tak przechodząc tamtędy, z tą feuerlöscher, niby, że trzeba ją tam zawiesić, ale wtedy, to tak tylko dmuchnąć w kierunku tej lufy. Jak tam się parę pyłków dostało, już ta lufa poszła na szmelc, do przetopienia na nową. Bo już się nie nadawała nawet do przesabrowania. I w ten sposób ja miałem na swoim koncie cztery tylko, ale był kolega, który wcześniej już tam pracował, i to nie wszyscy wiedzieli z naszych, tylko ci, którzy w konspiracji pracowali, bo u nas i w straży, i gdzie indziej to nie brakło tam takich, którzy chętnie by zdradzili.

Maciej Żuczkowski: A panie Konradzie, tak przerwę panu i zapytam, w jakich okolicznościach pan trafił do konspiracji? Jeszcze na samym początku pracy w kuźni, czy dopiero, jak pan trafił do straży pożarnej?

Konrad Strycharczyk: Dopiero, jak byłem w Stalowej Woli. To prędko do mnie się zwrócili, zwróciłem to... wtedy już Kedyw. - Kedyw się zwrócił.

Maciej Żuczkowski: Ale Kedyw rudnicki, tak? Czy...

Konrad Strycharczyk: Kedyw rudnicki i potem przeszedłem pod Kedyw, który był w Tarnobrzegu, ale pierwszy rudnicki. I oni jak wychodziliśmy po pracy, trzeba było tam kartę odbić, wychodząc, a to jak się

przychodziło, ale wchodząc, to odbijałem kartę, kładłem i całą falą wychodzili robotnicy. Ale tam pod tą brzozą stał jeden z rowerem. I to był sygnał, że trzeba się do niego zwrócić, co będziemy robić. Jak nie było nikogo pod brzozą, to do chałupy i nareszcie do domu i tak. A jak był ktoś pod tą brzozą, to znaczy, o, już czeka mnie robota, coś tam będzie. I tylko się bałem, czy nie na koniach. Ja bardzo lubiłem konie, ale jeździć na koniu słabo. Jakoś mi to wychodziło... tam na rowerze, czy pieszo, jak gdzieś tam... pociągami, żeśmy wysadzali pociągi, to tak. Ale na koniu mi jakoś nie wychodziło. I wtedy było wiadomo, że... I oni, oprócz tego, że tam na miejscu żeśmy robili sabotaż w czasie... to już była finezja, to była najtrudniejsza robota i to trzeba było bardzo ostrożnie. No jakby taki zauważył jeden z drugim, bo tam tylko Niemcy byli, że to się zrobiło, no to od razu by strzelał w łeb. Tam się nie zastanawiał nawet, bo miał prawo.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, pan był w konspiracji od 13 lutego 1943 roku.

Konrad Strycharczyk: Tak.

Maciej Żuczkowski: Pamięta pan, w jakich okolicznościach i gdzie składał pan przysięgę?

Konrad Strycharczyk: Tak, składałem w Rudniku i tam był brat Skarbka Sochy, jego starszy brat, bo Skarbek Socha to jeszcze żył do niedawna. I u tego Skarbka Sochy właśnie...

Maciej Żuczkowski: U niego w domu?

Konrad Strycharczyk: W jego domu, Pilawski Zbigniew umarł na zawał. Przyjechał tam do niego, a to było w Łodzi, a w Łodzi to jednostronne, żeby to tu blisko miał, ale nie, to trzeba było przejechać te kilka ulic. I on wreszcie przyjechał przed dom, tam gdzieś postawił, gdzie można było i pokazał się. A ta jego żona, Sochy, mówi: "Ale ich trafił fajnie, bo zaraz będzie obiad". To dobrze było. A on mówi: "No i to świetnie, bo jestem głodny jak hart". "Ale to jak zaraz, to może ja na chwileczkę się tylko położę". "Moment, bo tu się najeździłem teraz dzisiaj". Położył się, no i obiad już wyszykowany, stawiają na stół, więc "Idź, zawołaj go". No ale on już nie żył i tam u tego Sochy właśnie odszedł. Ale pogrzeb był w Rudniku, bo on sobie zażyczył, żeby być w pobliżu dziadka i ojca. Dziadek w 1920 roku walczył, a ojciec też w czasie tamtej wojny. I on na tym samym cmentarzu leży też. I tam właśnie harcerzy z Rudnika, ci, które założyliśmy te drużyny, tam on leży między innymi i oni się nim opiekują.

Maciej Żuczkowski: A jeśli chodzi o pana zadania jako akowca na terenie zakładu w Stalowej Woli?

Konrad Strycharczyk: To wtedy jeszcze nie akowca, wtedy jako szaroszeregowiec chyba. Bo owszem, po przysiędze akowskiej, ale jeszcze jako młodzieniec szaroszeregowiec. A później dopiero, jak już skończyłem 17 lat, to byłem łącznikiem na miejscowości Rudnik, Leżajsk, Przeworsk, Rzeszów. A czasami do Jarosławia też.

Maciej Żuczkowski: I na czym polegała ta praca łącznika? Wywoził pan jakieś meldunki?

Konrad Strycharczyk: Tak, tylko najtrudniejsze było to, że na piśmie miałem tylko przy tym, który mi zlecał. I on mi to potem odbierał i mówi: "To musisz mieć wszystko w pamięci. Nie wolno ci tego w żadnym wypadku nic napisać". No i tam trzeba było słowo w słowo. Już wtedy ćwiczyłem, ale ćwiczenia pamięci dobrze mi szły, bo dużo z tamtego okresu zapamiętam. Na przykład taki... teraz w ogóle nie uczą się przecież nic na pamięć w szkole, żadnych wierszy, żadnych jakichś tam. Nawet matematyki, to on zaraz do komputerka i pit, pit, pit, i już wie. Nawet siedem razy osiem, to on po co ma się uczyć, ale to jest głupota. Myśmy to wszystko, i Tarnowska tak o! na pamięć. W piątej klasie, jeszcze wracam do Rudnika, w piątej klasie w Rudniku to były czytanki. Książki były takie, że cztery, pięć lat z tej samej książki uczył się mój brat, potem następny brat, a potem jeszcze po takim okresie jeszcze się ją sprzedawało i znowu się inni uczyli. Ta sama książka, ta sama czytanka. A teraz co roku inne książki i jeszcze w dodatku ten nauczyciel nie, tej sobie nie życzy, tylko tamtą i to jest zawracanie głowy, co to za nauka. A ja pamiętam w tej piątej klasie, na szóstej stronie był wiersz o wojsku i tak się zaczynało: "Bum taratata bum tara bum, Bęben się pięścią wali po brzuchu, Wesołych żaków nadbiega tłum, I wszystko pędzi, i wszystko jest w ruchu, Bo wojsko idzie, muzyka gra, To polski żołnierz stąpa w kolumnie, Gdzie stąpnie, tryska z kamienia skra, Tak idzie mocno, tak stąpa dumnie, Bacność młodzieży i czapki z głów! Bo sztandar powiewa nad żołnierzami, Sztandar to święty żołnierza znak, W nim jego siła, moc i potęga"... I dalej to już dupa zimna, nie pamiętam. Ale tyle, prawda... a tych bajek mickiewiczowskich, a fragmenty całe "Pana Tadeusza" i tak dalej, to wszystko na pamięć, "Pani Twardowska", "Pies i Wilk", takie tam, "Dwaj przyjaciele"... To wszystko na pamięć, a teraz jakoś... "Ojciec zadżumionych". No ale wracamy do konspiracji. Tak. Więc później jak już byłem tym łącznikiem, to między innymi do tego Wołyniaka, do innych tam w Rzeszowie, w Stalowej Woli. W Rzeszowie był znowu Bronek Cmela, bo on stamtąd pochodzi, tam na miejscu prowadził konspirację, dużego typu, a równocześnie udając dobrego pracownika dla Niemców, bo pracował w takim przedsiębiorstwie, gdzie gotowali coś. I okazuje się, on najnormalniej pod słońcem, służbowo, że dla biednych roznosili żywność, a roznosili tam, gdzie nasi potrzebowali, w różne środowiska i poza Rzeszów. I to jest jedna z dziesiątek tych różnych spraw, które się robiło za okupacji. No i tak wyglądała ta okupacja niemiecka.

Maciej Żuczkowski: Gdzie pan się spotykał jako łącznik z tymi umówionymi osobami? Gdzieś w okolicy dworca, czy na mieście?

Konrad Strycharczyk: Nie, z dworca to też jeden raz i to było najlepsze, ale przeważnie to w sklepach, w dużych sklepach, zakupując towary, niby to tam się coś kupowało i tam przychodziła osoba, do której to miałem przekazać. I tak tylko szybciotko ten. I tylko pytałem: "Dobrze pamiętasz?". I znowu żeśmy brali tam jakąś marchewkę, czy takie tam... puszkę z groszkiem, czytało się tam to, "To jeszcze raz, powtórz". I on powtarzał, mówię: "Dobrze, dobrze". "To ja teraz mam najbliższy pociąg, o której?", on mówi, o tej i o tej. "Ale wsiadaj nie na głównym dworcu, tylko na następnej stacji". "A jak się tam dostanę?". To on mi mówił jak i tak dalej. Ja, przeważnie, to mówi: "To podwiezie cię mój człowiek rowerem albo motocyklem". Już wtedy WFM-ki były.

Maciej Żuczkowski: A jeśli jeszcze chodzi o konspirację na terenie w ogóle Stalowej Woli, to czy na terenie zakładu był pan w kontakcie z jakimiś innymi ludźmi z podziemia?

Konrad Strycharczyk: Tak, tak. Ale nie dużo, tylko z trzema.

Maciej Żuczkowski: Pamięta pan ich nazwiska albo pseudonimy?

Konrad Strycharczyk: Jeden to był... Tak samo się nazywał, jak miejscowość, w której mieszkał. Między Stalową Wolą a Niskiem jest wieś, która się nazywa... i on miał Wolanin czy jakoś... Nie, zaraz, nie.

Maciej Żuczkowski: Warchoły, nie?

Konrad Strycharczyk: Warchoły też są tam, ale jeszcze inna wieś.

Maciej Żuczkowski: Barce jeszcze są.

Konrad Strycharczyk: Co?

Maciej Żuczkowski: Barce tam jeszcze są.

Konrad Strycharczyk: O! Malec on się nazywał.

Maciej Żuczkowski: Malec, tak?

Konrad Strycharczyk: Malec, tak.

Maciej Żuczkowski: Bo to Malce są.

Konrad Strycharczyk: Tak, tam są Malce. To widzę, że pan zna tamten teren. To jeździł pan tam...

Maciej Żuczkowski: Rodzinę tam mam właśnie, w tamtym terenie, tak że...

Konrad Strycharczyk: Tam między innymi były wyroby mięsne, w pobliżu. Bardzo dobre zresztą, niedaleko Malca, czy nawet w Malcu. Tak, no. I to tak wyglądało, aż do czasu, kiedy wkroczyli Rosjanie.

Maciej Żuczkowski: A jeszcze chciałbym zapytać o propagandę niemiecką na terenie Stalowej Woli. Pamięta pan ten moment, kiedy ogłoszono, że odkryto groby w Katyniu? Czy odbyły się jakieś wiece na terenie...

Konrad Strycharczyk: Tak, tak, tylko że to Niemcy też szkalowali. Niemcy bardzo ostro reagowali na to. Bardzo mieli przykrości, jeżeli ci, którzy to chcieli o tym mówić. Dlatego że Rosjanie mówili, że to Niemcy robili. A dopiero później się okazało, że to nie Niemcy.

Maciej Żuczkowski: A pamięta pan taki wiec w Stalowej Woli, w którym wzięło udział dwóch żołnierzy Wojska Polskiego z tej dywizji Tadeusza Kościuszki?

Konrad Strycharczyk: Z dywizji Tadeusza Kościuszki?

Maciej Żuczkowski: Jako jeńcy w niewoli niemieckiej. Właśnie wystąpili tam przed robotnikami w Stalowej Woli.

Konrad Strycharczyk: To, owszem, ja o tym słyszałem, ale niestety nie byłem przy tym. Żałowałem, bo w tym czasie mieliśmy jakąś robotę w pobliżu Raclawic. Nas skierowali i tam mi właśnie powiedziano. W pobliżu Raclawic, między Raclawicami a mostem na Sanie do Zarzecza jest taki ni to zameczek, ni to... jak on się tam nazywał... na "W". I tam żeśmy mieli taką robotę, i tam się dowiedziałem od kolegów, że słuchaj, okazuje się, to Niemcy, a oni się tak oburzają. Bo jeszcze nawet nikt nie pomyślał, że to Rosjanie. Tylko ciągle mi mówiono, że Niemcy. A to specjalnie Rosjanie rozsiewali tę wiadomość.

Maciej Żuczkowski: Żeby dezinformować.

Konrad Strycharczyk: Dezinformować.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, o dwie rzeczy chciałem jeszcze zapytać, zanim przejdziemy do tego okresu wejścia... w momencie, kiedy Rosjanie weszli na ten teren, to chciałem zapytać o dwie sprawy. Na początku 1944 roku Niemcy zaczęli w okolicy Rudnika budować różnego rodzaju umocnienia. Tam nad Sanem.

Konrad Strycharczyk: Nad Sanem, tak.

Maciej Żuczkowski: Brał pan udział na przykład w tych pracach kopania okopów - albo budowie fortyfikacji?

Konrad Strycharczyk: Nie. Bo w Stalowej Woli dojeżdżałem codziennie rano pociągami do Stalowej, do pracy.

Maciej Żuczkowski: A jest pan coś w stanie powiedzieć na temat obozu Baudienstu w Rudniku? On był zlokalizowany od nadleśnictwa. Tutaj w kierunku na wschód od... w wschodniej części, zaraz przed przedsiębiorstwem "Jarot".

Konrad Strycharczyk: No, to co było?

Maciej Żuczkowski: Takie duże było obozowisko.

Konrad Strycharczyk: To się nazywało Depo.

Maciej Żuczkowski: Tam było depo i tam zbudowano...

Konrad Strycharczyk: Tak. I bardzo dużo tam jeszcze można było znaleźć z tamtej wojny różnych pocisków, a szczególnie prochu dużo było. I to ten proch w takich kwadracikach, ja widziałem takie ten... I to tam niektórzy grzebali w ziemi i wynajdywali dużo ciekawych rzeczy. Ale także i były wypadki, że polegli, bo te wybuchy niefachowo były wyjmowane z ziemi i polegli. Na przykład takie było jedno nazwisko, pamiętam, Kosak. Kosak, nie przez dwa "s", tylko przez jedno, nie wiem, Kosak. Przez jedno "s", Kosak chyba. Jan, chyba Jan Kosak. Też poległ właśnie, to brał jakiś pocisk, rozbrajał go, żeby ze środka wziąć ten proch, bo to myśleli i tam inni chętnie kupowali. A poza tym potrzebny był do konspiracji, do pocisków, do robienia różnych takich bomb. Bo w partyzantce z kolei, u "Zapory", to byli "mineciarze", jak myśmy ich nazywali, mineciarze, czyli minerzy. I oni robili plastikowe gamony. I taki gamon miał to do siebie, że granatem jak się rzuciło na odległość 20 metrów koło siebie, no to ciebie też rąbało. A gamonem to można było, szczególnie to używano do wyważania drzwi w milicjach czy ubojach żeśmy tam utrwalaczy likwidowali, to najwyżej drzazga z tych drzwi, jakiś kawałek, odłamek cegły, czy coś tam, to mógł cię stuknąć gdzieś tam po kolanach, czy gdzie. Ale sam pocisk jako taki nie był groźny. I do takich właśnie, oprócz trotylu, potrzebne były także właśnie takie materiały. A "Zapora" skończył specjalne wyszkolenie tam, jak był w Londynie, na temat robienia tych i wyszkolił "Głaza", właśnie brata tego "Morwy". Wyszkolił i jeszcze jednego, mieliśmy dwóch minerów, oni byli minerami, a ja byłem

strzelcem wyborowym z RKM-u. A strzelać z RKM-u, dyktierowa z tym bębniem i pociągnąć za cyngiel tak, żeby tylko trzy strzały były, to nie było takie łatwe, a ja to robiłem.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, to jeszcze o tym okresie sobie porozmawiamy za chwilę, a chciałem jeszcze z dwa pytania zadać. Czy może pan coś powiedzieć na temat poligonu w Górnio, który funkcjonował koło Rudnika?

Konrad Strycharczyk: Gdzie?

Maciej Żuczkowski: Koło Rudnika, miejscowość Górno.

Konrad Strycharczyk: A, w Górnio. W Górnio to ja tylko niestety słyszałem o tym, bo ciągle moja ruchliwość w teren była tylko w wolnych moich godzinach jako ten łącznik, żeby tam ten... I to, co w konspiracji Stalowej Woli przygotowywano w kedywie, żebyśmy wyskoczyli tam ten. A o tym to tylko słyszałem, nie mogę nic powiedzieć bliżej na temat, jak to wyglądało, gdzie było, w którym miejscu, jak się to kształtowało.

Maciej Żuczkowski: A może coś pan powiedzieć na temat losu Żydów z Rudnika, co się z nimi stało w czasie wojny?

Konrad Strycharczyk: Ja mogę powiedzieć na temat losu Żydów nie tylko z Rudnika, ale przede wszystkim z Ulanowa, bo w Ulanowie była taka noc... To okropność, to za delikatne, morderstwo to za delikatne określenie. No nie ma takich słów, co zrobili w Ulanowie z Żydami i to potem zabrali ich do... koło Zarzecza było takie skupisko tych Żydów i potem ich wywozili dalej. Jedną z tych ulanowskich ludzi, z tych Żydów, Żydóweczkę, z którą nie chodziłem do tej samej klasy, bo ona chodziła o rok wyżej. A jeżeli pamięta pan, to rok wyżej, jak ktoś był w innej klasie, to już na tego z tej klasy z poprzedniego roku, mniejszego, niższego roku, to już się patrzyło z góry. No a poza tym ona była... aha, to już miałem mówić ogólnie o Żydach. Więc z Rudnika wszystkich komasowano i z Ulanowa właśnie tam do Zarzecza.

Maciej Żuczkowski: Zaraz na początku wojny, prawda?

Konrad Strycharczyk: Zaraz na początku, tak. I w tym Ulanowie to masa Żydów była zabrana, ale w strasznych warunkach, tam bez litości, otluczano tak jak szczury nieraz się wypłoszy, szukali... Ludność miejscowa niektórych próbowała schować, to były trochę duże przykrości potem nawet, ale zasadniczo to ich wybrali. Tam między innymi była taka mała miejscowość Ulanów i przed wojną, tamtą, po tej przerwie, kiedy nie było Polski w ogóle, to był sąd, była izba adwokacka, był lekarz i jakaś taka jak gdyby

w pewnym sensie służba zdrowia, nie w Rudniku, a właśnie w Ulanowie. I tam między innymi słynął z dobrej obrony właśnie doktor... nie doktor, tylko adwokat, który miał dwie córki. Jedna nazywała się Blanka, ta, którą ja... Adwokat, ja sobie przypomnę nazwisko jego zaraz, prawdopodobnie przypomnę. I była ta noc straszna, o której ja mówię, wyczyścili Ulanów z Żydów, kompletnie wyniszczyli ich, a kogo żywego jeszcze, to zabrali tam do tych. I w jakiś sposób, sobie tylko wiadomy, adwokat... Ta rodzina tego adwokata rozbiła się i cała rodzina pojechała, uciekła i została zabrana w Bochni do getta, a została w Ulanowie i potem w czasie tego pogromu, widocznie ktoś jej pomógł, czy coś, przedostać się na stronę drugą Sanu i ona tymi chaszciami do Rudnika dotarła. Ale już tak wylękniona, że jak szła ulicą, to tak mniej więcej, jak sobie przypominam ją, jak wyglądała, to tak jak teraz, jak jest w akcji ćpunowej, osoba taka idzie, nie idzie i taka żyje czy nie żyje, nie wiem, czy pan widział takiego. Ja widziałem dwie dziewczyny takie, dziewczyny młode, teraz, takie po tym ćpunowaniu. No a ona wtedy od wylęknienia, od strachu i z głodu, bo tam uciekła, nie wiem jak długo ona była i ja na ulicy idę w Rudniku i właśnie patrzę, idzie ona, ja ją znałem. I podchodzę, i mówię: "Blanka, co tu robisz? Tu niebezpiecznie dla ciebie". Ona wtedy się zdrygnęła znowu i mówi: "Tak, a ja nie wiem, co robić." i się rozplakała, a ją pod rękę i do domu. I tak się szczęśliwie złożyło, że nie było nikogo, bo bracia w szkole, a była tylko mama, ojciec gdzieś tam w pracy czy gdzieś. I ja mówię: "Popatrz, mamó, to jest Blanka Weberówna.", Blanka Weber. Ona mówi: "No poznaje, rzeczywiście, a co?". No przecież wczoraj był taki pogrom, a to było około godziny 11:00 jak ja ją spotkałem przed południem. A dopiero rano, tak 8:00, 9:00, dopiero przyszła wiadomość, co się działo w Ulanowie, tak to zrobili sprytnie, janowskie gestapo przyjechało, janowskie połączone z niskim, Nisko i Janów zrobili na Ulanów tę akcję nocą. No i matka mówi: "O Jezus, to niebezpieczne". To słuchaj, tutaj jest ta szopa... tam, jak oni się tam nazywali... Wójcików, Wójcik był tam, i oni tam trzymają siano na górze, jest drabinka, ja ją tu teraz trochę umyję, bo ona była jakaś tam po tych chaszcach jak chodziła i nakarmię, a ty spróbuj zobaczyć, czy tam jest możliwość, jakieś legowisko, siano czy coś. Niech by ona tam się schowała na razie. No i ona... mama tam koło niej, a ja tam dyskretnie poszedłem, rzeczywiście było siano, to mama mówi: "Weź te dwa koce, jeden na spód i tę poduszczkę małą, i niech ona tam będzie. A tu masz takie naczynie, niech ona tam robi, będziesz musiał to wynosić". A ja mówię: "Dobrze, dobrze". I to zrobiliśmy, no i teraz co dalej? Jeżeli ktokolwiek się zorientuje, no to cała rodzina pod ostrzał, bez żadnej dyskusji. I teraz ja... Aha, ja już wtedy byłem w straży pożarnej sanitariuszem. I tam miałem już te pisma z pochwałami, miałem trochę, tak byłem tam widziany jako tam niby ten fachowiec. I ze Stalowej Woli, ze szpitala w Stalowej Woli, jak były trudniejsze sprawy, które trzeba było hospitalizować albo w ogóle operować, to sanitarka jechała do Krakowa i to robili w Krakowie. I miałem takiego znajomego, to trudno mówić znajomego, ale w każdym razie tak jakoś życzliwie patrzyliśmy na

siebie, nie wiedząc, czy który pracuje gdzieś w konspiracji, czy nie. I ja do niego ośmieliłem się i mówię: "Słuchaj, mam do ciebie trudne pytanie dotyczące życia jednej osoby, a jakby się nam nie powiodło, to życia naszego też". On mówi: "To po co mi to mówisz?". No i tak rozpoczynam tak ostro, bo tak on tak zaczął, ale mój sposób przekonywania, delikatny, spowodował, że on się zaczynał trochę tym interesować, bo ja go nakłonić chciałem, żeby on jako kierowca zabrał do karetki, którą będzie jechać chory człowiek do Krakowa, żeby ją zabrał do Bochni. Bo potem się okazało, jak ona z matką już rozmawiała i tak mówi: "Ona wie, że jej rodzice są w Bochni, w getcie i ona by chciała". A ja mówię: "Słuchaj, jak w getcie, to ona może być przecież z getta, ich mogą wziąć wszystkich razem i znowu gdzieś tam wykończyć. Ona mówi: "To niech by nawet tak było, ale razem z rodzicami i wszyscy razem, a ja chcę, co ja tu sama, co zrobię". No i jak to powiedziała by Wideniuk: choć ty, bierz i płacz. No i co zrobić. I musiałem go przekonywać, ale to nie wszystko, on mówi: "No ale przecież potrzebna będzie przepustka, jak nas Niemcy zatrzymają na drodze, że jest chora". Ja mówię do niego: "Spuśćcie na mnie, to już znowu ja załatwię". I znowu tam taką sanitariuszkę, która równocześnie była na oddziale sekretarką oddziału, że napisała, że głowa. A dlaczego coś tam z głową? Jakaś tam fachowa nazwa, dlatego, że ja ją całą zawiąłem łeb tak, że nie było, ledwie jedno oko było widać, a tu reszta, to co tam, to normalny człowiek, tylko żeby nie poznać było, bo czarna była taka. No i ona, znowu ta sama heca, "Słuchaj, co ty mówisz, Jezus, Maria, człowieku...". "Ja uklękne przed tobą, bo inaczej to będę miał przykrości.", bo ja ją mam, a to muszę ją gdzieś, bo inaczej to moja cała rodzina. No a teraz i moja. Ja mówię: "Nie, twoja nie, bo ja mogłem to ukraść od ciebie.", Dlatego to się wyprzemy i to... No i znowu tam trzeba było, modlitwę prawie mówiłem do niej i napisała mi tak. I wtedy wyczekiwanie na... mogło to być albo dziś, albo jutro, albo i za cztery dni, bo to zależało od tego, czy był ktoś taki, co potrzebuje być konsultowany albo operowany tam. No i tak się szczęśliwie złożyło, że następnego dnia i to rano było, o 5:00 rano, to dla mnie było bardzo dobre, bo ja o godzinie 6:40 miałem pociąg do pracy do Stalowej Woli. "Oj, to dobrze.", mówię, "To słuchaj...", on mówi: "Słuchaj, to ja nie koło twojego domu zatrzymam się, jak będę przejeżdżał do Krakowa, tylko...". I tam ustaliliśmy takie miejsce, że tam z boku pod taką wierzbą. "A ty bądź przygotowany i tylko szybko wejdziecie i przepustkę dasz jej do ręki, żeby ona mi dała, żeby tylko nie trwało to długo". Wsiada i jedziemy. I tak było i pojechała. Ale on potem w ostatnim dniu mówi: "Nie. Słuchaj, to ty pojedziesz też". Ja mówię: "Ja? Ale jak?". - "Jako sanitariusz". - "Ale ja nie mam przepustki". - "Ale masz sanitarną...". "Bo ty jesteś sanitariuszem". Ja dla świętego spokoju mówię: "Dobrze, mam tą"... Takie zaświadczenie miałem rzeczywiście, że normalnie tak pracowałem w szpitalu. Gdyby mnie chcieli kontrolować, ale to przeważnie zawsze chodziło o chorego. Ale tak się szczęśliwie złożyło, że nas nie zaczepili nigdzie i jedziemy przez Bochnię. I teraz znowu nie wypada się pytać, gdzie jest getto. Ja

mówię: "Słuchaj, ty mnie wypuść, a tu stań na chwilę, ja tam porozmawiam i ja się zapytam. I potem bokiem tam, tamtą uliczką, przyjdę do ciebie i z powrotem, jak już będę wiedział". No i tak było. Poszedłem do starszej pani takiej, się zapytałem. I ona mówi: "To nie wiesz?". Mówię: "Nie, bo ja jestem przejezdny, tylko chciałem, żeby coś tam podać". - "Ach tak, chcesz im pomóc?". - "Tak". "Oj, ryzykujesz". Ja mówię: "No, ryzykuję". "Ale gdzie to jest?". No i ona mi mówi, co teraz, pojedziesz tak, a potem tak się nazywa ulica, potem tak. No i ja z nią razem wysiadłem, a ten pojechał do Krakowa szczęśliwy. A ja ją... Tam było radości, całowania z tego i mnie po uszach, po nosie. Ale ja nie miałem już pociągu. Przyjechaliśmy dobrze późno wieczorem. Ja mówię: "A o której mam pociąg?". Oni wiedzieli wszystko, że jest pociąg. Rano, znowu tam. No to wobec tego trzeba przenocować tam u nich. Tam wszystko było tak, że ja musiałem spać w wannie. Spałem w łazience. To trudno to nazwać spaniem. No tam mi dali coś miękkiego, żeby mnie to nie gniotło. I tak pół siedząc, pół śpiąc i pojechałem. I co jest najzabawniejsze, że oni może z tej radości, może, ja nie wiem, jaki to powód, bo na pewno nie sprawa chyba oszczędności czy coś, że nie mieli, bo to byli bardzo bogaci Żydzi. Ale nie pytali się, czy ja mam na pociąg. A ja jestem za ambitny i nie pytałem znowu, nie wołałem. I jak mnie zbudzili, dostałem jeszcze dwie kanapki, mi tam jakieś zrobili z serem. Mówi: "Bo będziesz głodny". "No to dobrze, dziękuję". Te kanapki dali, ale nic więcej. Całe szczęście, że ja miałem przy sobie parę złotych, właśnie tyle, że jeszcze na bilet wystarczyło i przyleciałem. I to na bilet do Rudnika. Dalej nie wiem, czy by to... Jakoś przyjechałem i dzięki Bogu, matce zgłosiłem, to była szczęśliwa. Mówi, że najważniejsze, że i ty żyjesz i ona jest tam, a co dalej będzie... I potem bardzo chciałem, bardzo chciałem jakoś się dowiedzieć, czy dostali się gdzieś za granicę, czy uciekli, czy ich zabili, czy... I do dzisiaj nie wiem, dopiero teraz Rydyk robi takie powiadomienie, żeby się zgłaszali ci, co coś pomogli. Ja to zgłosiłem. A oni mogą to bardzo łatwo sprawdzić, bo ta noc pogromu żydowskiego w Ulanowie to jest znana. To jak pan się tam spyta któregośkolwiek, kogo z Ulanowa czy z okolic, ale starszych ludzi, w moim wieku, to opowiedzą, co to była za straszna noc.

N0763_kr_FINAL_3_5_1

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, skończyliśmy tę opowieść na roku 1944 i chciałbym, żeby powiedział pan, jak wyglądała sytuacja, gdy weszli Rosjanie na teren Rudnika.

Konrad Strycharczyk: Było to bardzo ciekawie, ponieważ to duże przeżycie dla całego społeczeństwa, bo faktycznie zdawało się, że przyjaciele przyszli, że jest to przyjaźń, wyzwolenie. Bardzo szybko się okazało, jakie to wyzwolenie, kiedy niektórzy miejscowi, widocznie zorientowani, że tak mają być przygotowani na to, jak przyjdą przyjaciele, szybko wydawali wszystkich tych, którzy pracowali w konspiracji, a już szczególnie tych, którzy mieli złą opinię o Rosji. No więc... Nie było to tak z miejsca z dnia na dzień. Jakis

okres trwała ta faza takiego wewnętrznego zadowolenia, no przyszli przyjaciele. I w tym czasie, jak myśmy dojeżdżali poprzednio przez wiele lat do Stalowej Woli z Rudnika pociągiem, to żeśmy siadali zawsze razem w jednym przedziale, jak się dało, jeżeli było miejsce, wszyscy razem i żeśmy wzajemnie sobie śpiewali. Podróżni z innych stron, a nie ci, co stale z nami jeździli też, to lubili to słuchać, jak sobie śpiewamy, ale bardziej zainteresowani byli, co to pierwszy raz słyszeli. Ale w każdym razie posłużyło to do możliwości jakiegoś zgrania się. Myśmy już mieli niektóre piosenki opanowane, poza tym Kazio Pałka zabierał banjo-gitarę z sobą, a to był wtedy bardzo modny instrument. I na banjo-gitarze akompaniował. A jak dobrze miał humor Koszałka, to zabierał ze sobą skrzypce. No to już były dwa instrumenty. No i tak pomału, niektórzy z kolei brali jakiś bębenek czy coś. Jak żeśmy wsiadali, to od razu nawet ci, co jeździli z nami, robili miejsce, żebyśmy byli razem, żebyśmy mogli sobie pośpiewać, zagrać, a oni posłuchać. I teraz dlaczego to powiedziałem? Dlatego że teraz to myśmy sobie tylko tak w wagonie grali. Natomiast jak się okazało, że jest już wolność, wyzwolenie, no to wobec tego, my mówimy, to zrobimy występ w Rudniku, w domu kultury. No trochęśmy się stremowali, czy to dobrze wyjdzie, no ale wzięliśmy się w karby, każdy się trochę spiął. Ogłosiliśmy tam zwykłym takim mazakiem, żeśmy napisali parę afiszy, ale naród spragniony polskiego języka, już obojętnie, co to będzie, jaki to występ, ale po polsku, na polskiej scenie naszej w Rudniku, w Domu Ludowym. Przyszło tyle ludzi, że mowy nie było, żeby się zmieścili, tam w krzesłach to było zajęte dawno, ale nawet stojących, brakowało... to w pobliżu, nie wiem, czy pan pamięta, w pobliżu jest remiza strażacka, to jakoś tam wyprosili strażaków, jeszcze kilka, wszystkie prawie drabiny, na ścianach było, całe ściany oblepione były ludźmi też, no bo polscy wykonawcy, obojętniacy, że to jest... amatorszczyzna oczywiście była, ale po polsku i swobodnie, bez jakiś szykan, śpiewać będą czy coś, występ będzie. No więc ja prowadziłem konferansjerkę i między innymi przygotowałem sobie parę takich fajnych dowcipów tam. Wśród nich znalazł się jeden, który był podobny do sytuacji naszej z Rudnika, do Kopek taką polną dróżką jechał sobie tam hrabia, ja tak [niezrozumiałe, 00:05:06], no i wioził z sobą papugę, tresowaną, był z nią gdzieś, wracał z powrotem z tą papugą, z tą klatką. A naprzeciw siedł chłop, w zgrzebnej koszuli poniżej kolan, w słomkowym kapelusiku, bo gorąco, z jakąś tam tą kosą czy łopatą na plecach. I siedł sobie, ale boso. Jak to było normalnie w zwyczaju w naszych stronach. I zobaczył z daleka, że pan hrabia jedzie, więc już się spiął, żeby się ładnie uklonić, ale tam jakaś wyboista ta droga, więc chybnęła się ta kolaska, którą jechali. i z tej klatki papuga wyleciała i siadła na pobliskim tam jakimś krzaku, drzewie. A chłop się przejął, mówił: "Hrabiemu ptak uciekł, może go złapię". Więc delikatnie, cichutko podchodzi, podchodzi... Papuga wcale nie miała zamiaru uciekać, Bo była tresowana i z ludźmi obyta była. To on jeszcze bliżej i myśli sobie tak: najlepiej jak ją nakryje kapeluszem i ją złapię. I sięga po kapelusz delikatnie, żeby ptoka nie przestraszyć, zdjął kapelusz i już miał

skoczyć, ale w tym momencie papuga tresowana, jak zobaczyła, że on się kłania, to mówi: "Cień dopry" [Dzień dobry]. On się przestraszył i mówi: "O, przepraszam was, ja myślałem, żeście ptok". I okazuje się, że ten dowcip jeszcze jakoś przechodził, ale jak powiedziałem inny, który godził przyjaźń polsko-radziecką, bez mojej wiedzy, bez świadomości, żeby to robić celowo, no to wtedy błyskawicznie znalazłem się w NKWD.

Maciej Żuczkowski: Pamięta pan ten dowcip? Jak on...

Konrad Strycharczyk: Słucham?

Maciej Żuczkowski: Pamięta pan treść tego dowcipu?

Konrad Strycharczyk: Pamiętam tylko, że robotnicy bardzo sobie chwalą, jeżeli mogą pięknie kłaniać się swojej dyrekcji, swoim władzom, czy coś takiego. Ale to zamiast dyrekcji, to ja powiedziałem tam, żeby się znowu tym przypodobać, to ruskim, czy coś. Nie wiem, w każdym razie im się nie spodobało, powiedzieli, że ja ogłupiam i ośmieszam, że ja ośmieszam przyjaźń polsko-radziecką. Bo już ten dowcip z chłopem też, że ja chłopą tak poniżam, że on jest taki głupi, że nie zna... że to jakąś przyjaźń polsko-radziecką i tę przyjaźń międzyludzką, między panem a chłopem. No i w rezultacie dużo im nie było potrzeba. Znalazłem się w piwnicy, właśnie w Kopkach, tam były takie piwnice na kartofle, na zimę. Te piwniczki nie były duże.

Maciej Żuczkowski: To było gdzieś w okolicy szkoły?

Konrad Strycharczyk: Tak. Z boku szkoły, tam taki rachityczny laszek był, ni to sosenki młode, ni to drzewka. Ale między nimi tam gospodarze mieli takie na kartofle. No i w takiej siedzieliśmy. Przez całą dobę nie wypuszczali, bez przerwy przy drzwiach, przy tym... taką zasłoniętą, starymi drzwiami jakimiś, stał wartownik. No i tylko było jedno wiadro i do tego wiadra, jak nas było pięciu, sześciu chyba, to każdy coś tam siknął, ale jak już komuś się jeszcze co zachciało, no to się zrobił smród, więc ja wziąłem swój własny swetr i nałożyłem tak, żeby to trochę zakryć, żeby tak nie śmierdziało. No ale tak było, to okazuje się przygotowanie do wywiezienia na Sybir i oni oczekiwali, jak będą mieli odpowiednią grupę na jakiś tam "szaład", jak oni to nazywali, czy wagon czy coś, to wtedy przewozili na Sybir. No i matka oczywiście moja się dowiedziała o tym, jak też są i inne matki, też tam rozpaczały. Inne rozpaczały, a matka wzięła prędko, szybko, z ojcem załatwili. Wtedy nie piło się ćwiartkami, nie było w ogóle ćwiartek prawie, to tylko spirytus czasem był w tych małych butelkach, a tak normalnie to litrówy. I mama wzięła trzy takie litrowe bimru dobrego, dużo procentowego, nie wiem ile, no i poszła do tego gmachu. I weszła, okazuje

się, to... jak się to tam mówiło na burmistrza miasta, to nie wiem, komendant Garoda chyba, do komendanta Garoda zamiast na NKWD. No i do niego tam pyta się on: „Что вам нужно?“, a ona mówi: „Ваше благородие, мой ребёнок здесь.“ On usłyszał „благородия“, stropił się, zrobił się taki sztywny, tak na nią patrzy z kosem i mówi: „Ребёнка? Сколько лет имеет та ребёнка?“ „Ну, шестнадцать“. „Ребёнка, вот. А почему вы сказали благодарю?“. „Ну, нормально.“, ona mówi. „Как же это нормально, у нас есть товарищ“. „Ах, бо я забыла“... bo ona... i tłumaczy mu, dlaczego. Dlatego że jej dziadek, jej mamy, dziadek, Pietro... I ona mu tłumaczy, że dziadek jej w Pietro... czyli obecnie się to nazywa...

Maciej Żuczkowski: Leningrad.

Konrad Strycharczyk: Tak. To był właścicielem kasyna oficerskiego, ale nie tego dla takich młodszych, tylko oficerskiego powyżej kapitana. To było takie eleganckie samo towarzystwo wtedy, w tym czasie i oni inaczej, jak благодарю nie rozmawiali z sobą. To było wszystko z szacunkiem. I ona miała wtedy 11 czy 12 lat, ale pięknie śpiewała od dziecka, ja to po niej mam trochę, nie tyle może, co ona, ale coś tam mam. I któregoś wieczoru, jak była tam z dziadkiem, też siedzieli przy jakimś stoliku sobie i dziadek do niej mówi, wiedział jak ona śpiewa, "Заśпiewаш naszym panom?". Ona tak patrzy, a oni chcieli słuchać takiego dzieciaka? "Oj, ty jesteś dzieciak, ale pięknie śpiewasz, zaśпiewаш?". - "Tak". - "A co?". Ona mówiła, co. To on powiedział orkiestrze, bo tam co wieczór zespół grał jakiś stale. No i tamci przygotowali sobie akompaniament, prosili, żeby zanuciła początek, to oni wiedzieli tonację, no i ona zaśпiewała. Jak zaśпiewała, to duże brawa się sypnęły, że jeszcze coś, no to jeszcze coś tam zaśпiewała. I przeważnie jeździła do tego dziadka na trzy, cztery dni, ale tam jak miała w szkole wolne czy coś. A był taki potem czas, że oni prosili, żeby ona na dłużej przyjechała i mówi do niego "a potem to oni z mojego pantofelka pili szampana". No to ten się uspokoił, ja zrozumiałem teraz, dopiero później, jak mi to opowiadała, to nie wiedziałem, o co chodzi. To musiał być człowiek z tamtego rodu, któremu się udało prześlizgnąć jakoś i przeżyć, i wleźć do tych władz, nawet tam jakiegoś oficera dostał czy coś. I pomyślał, że go ktoś chce rozgryzać w ten sposób, rozpracować. [niezrozumiałe, 00:14:43] A to jak zrozumiał, o co chodzi, to te butelki, co matka wyjęła, włożył z powrotem do kubałki, takie kubałki tam były dawniej, z dużym uchem. I mówi: "Słuchaj, ja jestem szef Garoda, jak tam się nazywa, a NKWD to nie ja, a NKWD twoje peбёнка ma. Ja zaraz zadzwonię do niego, czy by on przyjechał i jego poprosić. Jego trzeba poprosić, to może jakoś się uda". Już nawet nie tylko, że nie był zły, ale nawet poszedł na współpracę, żeby mnie ratować, jak się zorientował, że to nie dotyczy jego strasznej rzeczy, o których w pierwszej chwili pomyślał. No i faktycznie kręci tą korbką i kręci, bo to były takie korbki wtedy. No wreszcie tam się ktoś

odzywa, mówi: "Jura, [nierozumiałe, 00:15:43]. No to ten mówi, a po czemu ja, ja ty... tam coś tego robi. "No ni trzeba, ni trzeba, [nierozumiałe, 00:15:53], tu grażdżanka do tebia". „Ну я? Какая я?”. "No zobaczysz, jak przyjdiesz". No i wreszcie ten przychodzi. Jak przyszedł, to on mrugnął na nią, żeby mówiła. No i ona mówi... nauczył, żeby nie mówiła „благодарю” tylko „товарищ”. No i ona powtarza, że chodzi o dziecko, które tutaj jest. "No pojedzie, z auta [nierozumiałe, 00:16:20]". On mówi. Ale ona wyciąga te butelki i tak kładzie. To ten bierze głęboki oddech. I tak się... jak ta psina przed sklepem z mięsem oblizuje, mówi: „Ну как же я могу?”, a ten mu podpowiada. „Аха, Я? Как же я могу? Jak on jest już na liście”. A ten mu podpowiada: no to na liście może być każdy inny. Ale jak ten kończył to mówić, to temu zaświtało. Bo NKWD już wszystko wiedziało, bo oni wiedzą na bieżąco. Ten pojęcia jeszcze nie miał nawet o tym chyba. A on mówi: „А в Польшу, в армию он бы пошёл?”. Matka mówi: "W Polsku? No to naturalnie, oczywiście". Mówi: "To bierzcie go ciupasem i od razu do Wojska Polskiego. A to okazuje się jeszcze nie w Lublinie, tylko w Chełmie. W Chełmie powstawała Armia Ludowa. Zaledwie parę dni było, tydzień może i przenosili to wszystko, przeniesli do Lublina. Ale w tym czasie, jak ta rozmowa się działa, to właśnie jeszcze byli w Chełmie. A on usłyszał, jak matka mówi "bierzcie go ciupasem". "Что? Мы? Тюрьма? Нет, нет.. On ma tam pojechać, a ten komendant pójdzie do niego i powie, że ja żądałem, żeby on zadzwonił do mnie albo wysłał telegram, że dał znać, że się stawiał ten kamrat". Matka mówi: "Pierwsze"... Aha, "Jak on nie będzie w ciągu 10 dni tam, cała wasza rodzina jedzie na Sybir". Matka mówi: „...ну ладно, ладно, хорошо.”. No i tak stało, że potem on wysłał jakiegoś tam ciura i ten poszedł z nią i mnie za wszarz i wyjechał. I w ten sposób zaczęło się teraz w domu: jechać, czy nie jechać? A ja się zastanawiałem. Oni: "Nie, jedź, musisz jechać, bo my pojedziemy wszyscy na Sybir". Ojciec mi dał swoją nową taką ładną jesionkę, bo już się jesień robiła. No i okazuje się, że pojechałem. I pojechałem do Budzynia. Bo tam jest tak zwany "7. baon zapasowy", był w Budzynie. Do Budzynia i w tym Budzynie był ten, to się nazywało "7. baon zapasowy", do którego z różnych jednostek wojskowych, z artylerii, z łączności, z piechoty, przyjeżdżali tak zwani kupcy, to się nazywało i zabierali sobie takich, którzy pasowali do ich jednostek. No i takich było kilku, ale ja w międzyczasie nie byłem zabrany. No to żeby nie próżnować, to z Jankiem Rowińskim się spotkałem. Janek Rowiński był solistą w operetce w Poznaniu, a ja tutaj. No i tak żeśmy potem się śmiali, bo Janek Rowiński zakochał się w córce dowódcy. I w pewnym momencie doszło do tego, że na wartownię przysła do niego, jak Rowiński miał służbę, jego córka i tam sobie tego, a przechodzi komendant. I "Co to za cywile rozmawiają?", to on niby, że nie zna córki, "Cywile nie mają prawa rozmawiać na wartowni przy głównym wejściu". No a Janek raptus, nerwus, a poza tym widocznie był trochę też może i na cyku, za karabin: "Szto wet! Ach wy kto?". I takie tam się wywiązało. Ten coś „буду стрелять” i ładuje. Potem dostał parę dni za to siedzieć, a jego córka wyciągnęła od ojca.

W każdym razie takie były sytuacje, ale niezależnie od tego zrobiliśmy właśnie z Jankiem tam zespół. To szumna nazwa - zespół. Wyszukałem trzech. Jeden był bardzo wysoki, cienki. Drugi był grubawy, niski. A trzeci miał takie nogi, jakby pończochy na beczce suszone były. I z nich zrobiłem balet. I taki ten akordonista... Janek właśnie zagrał taką melodię: [nuci rytmicznie] I oni równo w prawdzie robili, ale jakimi nogami? Ten taki, ten krzywy, a ten... Więc to komicznie wyglądało. Trudno było jakiś tam program myśleć z nimi. Potem myśmy z Jankiem zaśpiewali dwie piosenki. Tam jeden powiedział nawet ładny wiersz o przyjaźni polsko-radzieckiej. I tak się to dobrze zaczynało, że jak zaczynały być ćwiczenia czy coś, to ja powiedziałam, że dzisiaj musimy jeszcze dopracować jeden program. A Bali się ci dowódcy plutonów, bo wiedzieli, że my możemy coś takiego do programu wstawić, żeby go ośmieszyć potem, bo jednego żeśmy tak zrobili. To okazuje się, że potem wychodził komendant i mówił: "Zbiórka całości, łącznie z zespołem artystycznym! Następnym razem przyślę na czerpanym papierze zaproszenie dla nich". Już tak delikatnie do nas. No ale to się wszystko przerwało. Aha, i stamtąd, z tego Budzynia, jest około sześciu kilometrów do Urzędowa. Do Urzędowa jeździliśmy w niedzielę, kiedy był wolny dzień dla nas. To wolno nam było pojechać na mszę świętą, ale po mszy cały zespół zostawał. Poszła cała kompania, przed kościołem "W prawo zwrot.", "Rozejść się.", kto chce, to idzie na dziwki, kto chce, to tam napić się, a kto chce, to do kościoła. Tak było wtedy. Ale potem jest zbiórka do odejścia. I ja wtedy stawałem przed tym, kto tam ich przyprowadził, jaki porucznik. I mówię, że zespół nasz jeszcze pozostanie i przyjdzie. "Ale przed ciszą nocną?". Ja mówię: "Przed ciszą nocną". No, to myśmy zostawali i wtedy nas zabierały dziewczyny do swoich domów. Dobre było jedzonko, popiliśmy. Tam było całkiem wesoło, bo któregoś dnia, okazuje się, tam zrobiły mi warkoczki i takie wstążeczki przy warkoczykach i jeszcze coś, te dziewczyny. Już tak fajnie było, ale jeden spojrzał na zegarek i mówi: "Kurcze, nie zdążymy przed wieczornym apelem". "Ojej!", to każdy prędko tylko całuska i... "Ale co tak idziecie?". "Tak, musimy, bo potem pod ciupasem będziemy siedzieć". No i poszli my w nocy. Rano się budzimy, a tu ja otwieram oczy, a tu śmiech dookoła, jak cholera. "Dziudziuś, dzidziuś, haha, wstawaj!". A tu okazuje się, ja mam te warkoczki z kokardkami, bo nie zdążyłem zdjąć, nie wiedziałem, bo tam byliśmy w dobrym nastroju już, więc taki humor. No, ale to było po to powiedziane, teraz o tym Urzędowie i takich wieczorkach czasem. A to wszystko tylko było półtora miesiąca, bo potem już właśnie zabrali mnie do szkoły oficerskiej do Lublina, a w Lublinie byliśmy na Raławickiej ulicy, Szkoła numer 2 się nazywała. No, szkoła dla polskich oficerów, których w kadrach może ze trzech mówiło po polsku, a wszystko to po rosyjsku. I wszędzie na wszystkich większych ścianach bloków, na narożnikach tej wielkości, półtora metrowe, takie były cienie namalowane. I mówiono, i napisane było, żeby strzec się wrogów Polski Ludowej. Tam jakieś jeszcze te ich hasła były tam powypisywane. A okazuje się, że tam w tej szkole

znalazł się Pawian, który jak w Ulanowie jeszcze, w Rudniku byłem i w Ulanowie, brałem od ojca Jana dyspozycję, czy od Władki, bo tam był Władka, taki oficer, czy Konar, Konar był tam też, to widocznie on mnie widział, ja tam ich wszystkich nie mogę pamiętać, a jak ja przyszedłem jeden do oddziału, to mnie łatwiej było pamiętać. On mnie widocznie widział i powiedział, że ja byłem w AK. No, to mimo, że byłem tam już trochę zasłużony, bo nauczyłem... Aha, bo ja już dostałem plutonowego i byłem zastępcą dowódcy plutonu. I ja, jak były ćwiczenia, to dowódca mówi, to poprowadzisz ćwiczenie z to, to, to i to. Ja ich brałem w pole i mówiłem, jak robicie to dobrze, jeden raz od razu, to dwie i pół godziny mamy na słońcu, leżymy bykiem, tylko wystawimy czujki, czy nie idzie któryś z dyżurnych oficerów. Ale jak będziecie pitolić i nie tak robić, ja nie będę się mógł wykazać, że coś z wami zrobiłem, to będziemy całe dwie godziny się czołgać. No, to się postarali. A, to ja mówię: "To teraz wobec tego siadajcie, śpiewamy". Czujki wystawiłem i nauczyłem tak ten pluton śpiewać. I to były, okazuje się, można śpiewać tango do marszu. I to bardzo ładnie brzmiało, jak żeśmy szli, bo wtedy się szło do kościoła normalnie, w szyku marszowym, a przed kościołem to "Rozejść się.", gdzie, kto tam ten do kościoła, a jak nie chce, to idzie tam ten... I ja nauczyłem ich dwie takie ładne piosenki. Jedna to "Stachu wróć". I to tak: "Stachu, wróć, daruję ci winy", to wszystko do marszu, "Porzuć inne dziewczyny, i do mnie wróć. Stachu, ja po nocach wciąż płaczę, gdy cię z inną zobaczę, wróć do mnie, wróć. Choć byś kaleką był, co nie daj Bóg, to ja cię chętnie przyjmę w swój próg". No całe śpiewać dalej? "Stachu, ja cię przecież kochałam, Tobie serce oddałam, wróć do mnie, wróć". No i to tak ładnie, ale to jest dopiero piosenka. [kaszlnięcie] No proszę, coś mi tam za tego, korkuje. I to ja nauczyłem tak: jedną troszkę normalnie śpiewał, to tenorzy. To były dwie czwórki. Jedna trójka, nie czwórka nawet, a jeden miał mordę zamykać na klucz, bo tak fałszował, że nie pozwolił on nic. To śpiewała jako zapiewały. Oprócz tej normalnej, to tamci zapiewały "Stachu, ja po nocach"... A znowu na końcu dwie czwórki to już te basy, co normalnie nie umieją śpiewać [niezrozumiale, 00:30:04] "Stachu, ja po nocach już płaczę". Prawda, taki... Ale w sumie to to zabrzmiało. Jak myśmy szli do kościoła tym moim plutonem, to w wiara tych dziewcząt wszystkich dookoła, tylko koło nas, to potem tamci źli byli. I takich kilka piosenek, których nie zaśpiewam, bo coś mnie tam teraz łaskocze w gardle. I w ten sposób już przyzwyczaili się do nas, byliśmy... no ale okazuje się, jak ten powiedział, że ja byłem w AK, to jak mnie wzięli, ta informacja tak zwana, oficer informacyjny, na Świętoduską, na Zieloną, w Lublinie, nie wiem, czy pan wie, co tam się działo, to były straszne katownie. Tak się z boku wjeżdżało, takie blaszane drzwi były, wartownik, takie niepozorne, ale potem ludzie w pobliżu mieszkający nie mogli mnie wytrzymać. Takie były jęki i... No i tam dostałem piękny wycisk, taki, że ten... i takiego jeszcze trochę krwawiącego mnie tam przywieźli do koszar. Na drugi dzień to samo, w koszarach nikt już z moich... plutonów, te fajne chłopaki, każdy ten coś tam miał do zrobienia, ten

poszedł, ten tak... i każdy unikał, żeby ze mną nawet parę słów nieraz, żeby nie pomyślał ktoś, że on jest ze mną za pan brat, że to też taki sam zdrajca, który nie lubi Polski Ludowej. No i taki jeszcze, żeby się domyć na noc do snu, to już wszyscy prawie spali, gdzieś 22:00, długi korytarz, żaróweczka taka maleńka od czasu do czasu, to ja jeszcze poszedłem, żeby domyć się, bo krwawiłem. I nagle patrzę, idzie z naprzeciwka jeden porucznik, ten, który właśnie mnie bardzo lubił, do końca życia będę pamiętał nazwisko, Koga. I ten porucznik tak się rozejrzył w jedną, w drugą stronę, przyspieszył kroku, przyszedł do mnie i powiada: "Konrad, żal go tibia". Rozumiesz, o co chodzi? Że żal. Ja tak spojrzałem: "Pa czamu, towariszu porucznik?". "Zawtra ujeżdżajesz w Strafkommando, już rozkaz wypisany". "Gdzie?". "W Strafkommando na pierwój front pod Berlino". Pod Berlino. Czy jak oni to tam mówili... No, to mi się zrobiło łyso. A on tak jeszcze się rozejrzył w jedną, w drugą stronę, "Udiraj." i poszedł. Prędko poszedł dalej. Nikt nas nie widział, już 22:00 godzina, wszyscy prawie w łózkach, żeby odpocząć na następny dzień do ćwiczeń. No, to ja tak szybko myślałem... Hmm. Nic innego nie ma sensu, tylko tak jak mówił, w pierwszej chwili myślałem, że to podpucha jakaś. Może to on mnie podpuszczał, może to nawet... Potem sobie pomyślałem: podpuszcza czy nie, trzeba stąd wiać. Wszedłem na dużą salę, niby do łózka, że się kładę spać, tam sobie wyjąłem z pod poduszki, bo to każdy miał tylko poduszkę, jeszcze nie było żadnych stołków, żadnych stolików czy coś. Teraz to jest to hotel tam w wojsku pierwszej kategorii przy tamtym. No i potem przechodząc, płaszcz narzuciłem na siebie, przechodząc obok stojaków, nie czekałem, mój był szósty, to bym musiał tam podejść specjalnie, a ja tak przechodząc, złapałem pierwszy z brzoza karabin pod ten płaszcz i przez znaną dziurę, którą żeśmy chodzili na dziewczuchy poza koszary. I teraz myślę: jak pójdę na dworzec, to przecież tam jest patrol, natychmiast mnie weźmie za mordę i ciupasem. Pójdę tam, już teraz za późno, nie wiem, czy autobus będzie szedł, ale to jest to samo, tam też będą dyżurni, bo te... kanarki myśmy ich nazywali. No to co robić? Ja do dziewczyny nie mogę, oni wiedzą, do której ja chodzę, więc tam na pewno pierwsza rzecz polecą. Do domu, do rodziny? Nie. Z wielką radością, że dostaną delegację, pojedzie tam dwójka służbowych, bo my znaleźliśmy to już na pamięć, jak inni tak zrobili. No to co ja mam zrobić? I pomyślałem sobie: nic, tylko trzeba iść do lasu, do "Zapory", ale jak ja się tam dostanę? Dobrze, że wtedy w Urzędowie z tymi dziewczynami myśmy się zapoznali, to może one pokierują gdzieś tam, a już innego wyjścia nie mam. Do Ulanowa, do wujka tam, do tego, już miałem dwóch wujków, tam u ojca Jana, to ich zabrali na Sybir, to już tam tym bardziej nie ma co się pokazywać, także z Sybiru wrócił tylko jeden. Usiadłem pod taką tarniną, pamiętam, potem jak wstawałem, ona mi ściągnęła ten płaszcz prawie ze mnie, się tam nawbijala, ale w końcu pomyślałem tam tak: nie ma co się pieścić i szukać, kombinować, tylko trzeba do Urzędowa się dostać. Ale nie mogę pójść do pociągu, do żadnego, bo przecież tam już wszędzie bywają tam, w mundurze jestem, każdy pierwszy z brzoza, nawet

nie kanarek, oficer jakiś tam polski czy ruski, to się spyta: "Co ty tu robisz?". No to wobec tego, żeby na ulicy, bo jak pójde szosą normalnie, no to będzie jechał autokar jakiś, czy autobus, czy któryś tam, jakimś samochodem służbowym, to też zobaczy w mundurze pawiana, to się zatrzyma, "Co ty tu robisz?". No jak to się... To więc wpadłem na pomysł, że nic innego, tylko wzdłuż toru muszę iść, aż do Urzędowa. No i był to taki wieczór, w lecie to to jest, właściwie wiosna, bo to był kwiecień, to jeszcze chłodno. Ale od tej godziny 22:00, 23:00, szedłem do godziny 5:30 rano. I wzdłuż toru nadjeżdżał pociąg czy coś, no to ja się szybko chowałem tam gdzieś w krzaki czy gdzieś, jak przejechał, to szedłem dalej. I tym torem doszedłem do Urzędowa przed 6:00 i wtedy w mieście, to już trochę miasto znałem, tak bokiem, bokiem, do państwa aptekarzy, bo ta córka aptekarzy tam się trochę we mnie rozchlapała niby. I tak poszedłem i okazuje się, dobrze trafiłem. Ona знаła Gajewskiego, Gajewski, pseudonim "Oset", "Oset" w tym... a teraz jego brat małeńki, taki był pistolecik, pięcio-, sześciolatek, a teraz jest ważna szycha w Urzędowie. I nie tylko w Urzędowie, no i dobrze, że jest. I ten "Oset" był dowódcą placówki. Dowódca placówki to wiecie, co to jest? Że nie partyzant, ale partyzant, tylko pracujący normalnie i miał tam swoją grupę taką, wywiadowców, wiedział, kiedy pociąg będzie jakiś służbowy, od kolejarzy, kiedy będzie transport, kiedy coś, w jaki sposób można tam im doładować jakiegoś "dopa w kope". No więc Gajewski "Oset" mówi: "Przyjacielu młody, musimy poczekać, bo to nie jest tak, że pójdziemy o, tam sobie i tam ma być "Zapora", nie wiadomo, gdzie jest w tej chwili. Ale co kilka dni zawsze jest w pobliżu Urzędowa, bo to jest jego teren tutaj, więc jak tylko się pojawi, dam ci szybko znać i pójdziemy do niego". I tak było, tylko dwa dni czekałem, trochę odpocząłem, trochę się rozluźniłem tam u tych państwa aptekarzy. I potem on wbiega i mówi: "Chodź, chodź, chodź, idziemy, już. Bo nie wiadomo, czy długo będą, czy nie, żeby znowu ich nie szukać albo czekać". No i poszliśmy. Ja wyobrażałem sobie, taka sława, taki niszczy tych, pierwsze, Niemców, a teraz tych Ruskich, wszyscy drżą, a chłopci go na wsiach bardzo lubili i uważali za prestiż, za sędziego jakiegoś. Jak się kłóciło tam z sobą dwie rodziny czy coś tam, o jakąś tą sprawę, to wreszcie mówią: "Pójdziemy do wodza «Zapory» i niech on rozstrzygnie". No i przychodzili obydwaj i tam stary tak umiejętnie z nimi rozmawiał, na końcu, na tym, że ty jesteś Polakiem, ty też jesteś Polakiem. - "Człowiek, o co chodzi?". - "Ileż to mamy jeszcze tych dni?". A jeszcze tam trochę i łopata, i co to jest życie ludzkie, to jest jedna milionowa część sekundy, a wy tu robicie takie ten... "Podawać sobie dłonie i uściśnąć się". I on mówi: "Ty temu dajesz to, a ty mu musisz to jednak oddać". "Dobrze. Dobrze". I po dobroci to wszystko z wszystkimi można załatwić. I on tak bardzo dużo załatwił różnych takich spraw. A jak jednemu spalili Rosjanie chałupę, bo tam taki cały pluton nocował u niego, no to napisał kartkę do nadleśniczego: "Pomóżcie temu człowiekowi. Polak, patriota, pokrzywdzony przez wroga". To ten był szczęśliwy, że mu spalili, bo ten od tego gajowego dostał, wtedy mu przywiózł cichutko [niezrozumiale, 00:42:15], tamten

takie bale, tamten ten... Od razu zawiózł do tartaków, w tartaku mu zrobili, co trzeba i ten... Koledzy, przyjaciele, przyszli, pomogli, postawił chatę taką, że... Tak że to wszystko było pozostałością po dobrej atmosferze, po Niemczech, kiedy inaczej tam żeśmy chodzili, tam żeśmy prawie po 100 osób chodzili, tabor szedł za nami, tabor żywnościowy, tabor amunicyjny. Ta siostra, nie siostra, tam się nazywała... sanitariuszka, miała swoje całe tam, cały ten... tak że mogła prawie leczyć te... A teraz tu, tak szczerze mówiąc, to myśmy tej drugiej tury walk nie spodziewali się. I wcale nie byli żądni i chętni, ale co zrobić, kiedy tak wyszło, że żeśmy mieli oprócz tych zdrajców, którzy w tym układzie stali się zdrajcami, którzy poszli na tą... na ten lep, który NKWD i Rosja stosowali, że rozdawali ludziom nie swoją ziemię, tylko zabraną, że także mówili, że robotnik jest równy dyrektorowi, że to jest to samo. To, że między innymi stawali się oficerami, oficerami po paru miesiącach, takimi, jak mnie... ja zapomniałem jeszcze powiedzieć, że jak byłem tam w jednostce wojskowej, zanim mnie rozszyfrowali, w tej szkole oficerskiej, to dowódca Kontrym, wtedy był pułkownikiem, a potem już pamiętam był generałem, to Kontrym powiedział: "Ja ciebie nie podparucznikom, ja ciebie parucznikom", pasuje potem po tych trzech miesiącach, "Tolka a stań u nas jako oficer propagandy". Ja sobie pomyślałem: "Ty byku niedojony, czekaj, aż ja ci tutaj zostanę". No i tak się potem stało i teraz wracam do tego, że to wszystko spowodowało, że myśmy zostali zupełnie rozszyfrowani i skazani, i my, i nasze rodziny całkowicie byli przekazani do stracenia, tak jak Stalin rozkazał "wybić ich, sukinsynów, do nogi". No ale jak już tak wypadło, to trzeba było i wtedy walczyliśmy tam.

Maciej Żuczkowski: A panie Konradzie, pierwszy raz...

Konrad Strycharczyk: Niszczyliśmy utrwalaczy władzy, to było naszym głównym zadaniem.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, mam do pana pytanie, bo udało się panu nawiązać kontakt z Gajewskim, pseudonim "Oset". Z "Osetem", prawda? Pan miał kontakt?

Konrad Strycharczyk: Z "Osetem" byłem, tak.

Maciej Żuczkowski: I on pana zaprowadził... gdzie on pana zaprowadził wtedy?

Konrad Strycharczyk: A, on mnie zaprowadził, to było koło Bęczyna, za Bęczynem, taka...

Maciej Żuczkowski: Popkowice, miejscowość taka?

Konrad Strycharczyk: Popkowice, tak, o! I tam wyrabiali te garnki, bo tam na wsiach to różne mają sposoby do dodatkowego zajęcia, żeby zarobić parę złotych. I on tam tu ruszał nogą, kręciło się tak, to w

tych Popkowicach to co drugi dom robili te garnki. No w każdym razie to była bardzo przychylna dla "Zapory" miejscowość, w tych Popkowicach, i ja sobie wyobrażałem, że to będzie jakaś potęga, ten "Zapora", to tak chłop mniej więcej jak czterech Piotrusiów, a to okazuje się taki nie za wielki, mikry, w każdym razie nie za wysoki, koalicijkę miał i krótką broń, a z lewej strony mapnik, w takich butkach nie za wysokich, nie oficerskich, tylko takie normalne. No i w furażerze. I tak patrzę, ja mówię: "Ale gdzie «Zapora»?". On mówi: "No głupi, przecież widzisz, ten, co tu stoi". "To jest dowódca?", ja mówię. A on mówi: "Tak. A co ci się nie podoba?". Ja mówię: "Podoba mi się od cholery.", ale byłem taki trochę zdeprimowany. No jak mnie sprowadził, to tam się pyta: "A dlaczego chcesz do oddziału?". No ja mu mówię, że tu dwóch wujków już jest na Sybirze, tam do rodziny nie mogę, do mojej rodziny też nie, bo pierwsza rzecz, tam patrol pojedzie i powtarzam mu to, co ja przedtem myślałem, drogą nie, tylko tu i tu się dostałem po torze kolejowym. No, tak spojrzał na mnie, zmierzył mnie i mówi: "A gdzie byłeś przedtem?". Ja mówię, u "Ojca Jana", u Przysiężniaka, 1934 rok. Aha. O! "A przysięgę składałeś?". Ja mówię: "Składałem". - "Jaki masz pseudonim?". - "Słowik". "To nic, złożysz jeszcze tu u nas przysięgę". Ja mówię: "Dobrze". "A pseudonim zostawisz ten sam". "Dobrze". I mówi potem: "«Jadzinek», bierzesz go pod opiekę. Niech pierwsze: przysięgę składa". No i potem mnie zabrał ten "Jadzinek", ale potem byłem... z tego, co ja tak wyczułem, byłem pod obserwacją jednak.

Maciej Żuczkowski: A dlaczego pan był obserwowany?

Konrad Strycharczyk: No bo świeży przychodzi, ni stąd, ni zowąd, to może być wtyczka jakaś, [niezrozumiałe, 00:49:47] czy coś, prawda? Do rozgryzienia, do rozpracowania całego oddziału. Więc wyczułem, że tak to, tu mnie obserwują, tamten, tego... Ale to trwało tak tylko z tydzień. A potem, jak żeśmy się już rozgadali, rozśpiewali, powiedziałem, jaka rodzina, kto, gdzie, no to tam żeśmy już... to już była... A już najbardziej byłem zgrany właśnie z tym... To był taki chłopak, brat tego "Morwy".

Maciej Żuczkowski: "Jur"?

Konrad Strycharczyk: Nie, "Jur" to był porucznik, to była szucha w oddziale. Ja byłem u drugiego brata, który...

Maciej Żuczkowski: U "Głaza", tak?

Konrad Strycharczyk: U "Głaza", tak. I "Głaza", cholera, też przez... zastrzelił, zdradził właśnie taki kretyn. I przez okno go ten... A "Głaz" mnie uratował w pewnym momencie też. Zresztą mieliśmy dużo takich, jeden drugiego już tak znał i ratował. Mianowicie... tam w Popkowicach był także browar. I to już w

innym okresie całkiem, później w Popkowicach byliśmy. To było w tym czasie, kiedy zabraliśmy trzy autokary... nie, nie autokary, tylko...

Maciej Żuczkowski: Ciężarówki takie?

Konrad Strycharczyk: Takie, takie niemie... amerykańskie te..

Maciej Żuczkowski: Studebakery.

Konrad Strycharczyk: Tak. Ładne wozy, tam miały nad siedzeniem, zdejmowało się, podnosiło się, tak jak nieraz na dachu takie te... i można było sobie na siedzeniu stanąć i posiać z broni jakiejś tam, jadąc nawet. Ale pomijam to, że były Chevrolety i Fordy. Fordy to były już takie bardziej wyszukane. No w każdym razie mając jeszcze te Fordy, te samochody, tośmy właśnie zrobili robotę w dwóch miejscowościach. Między innymi tam właśnie w Dolnym, w Dolnym tym...

Maciej Żuczkowski: Kazimierzu?

Konrad Strycharczyk: Kazimierzu. I w Popkowicach przyjeżdżamy, a tam jednostka. No to się automatycznie ścieliśmy się i okazuje się, to jest taka prawie walka wręcz. Bo nie wiadomo, gdzie, który jest, w którym zabudowaniu i my, i oni. I ja wpadam do biura, a tam w pegeerach, w takich tych rolniczych przedsiębiorstwach, to były duże takie sale, duże pokoje, w których mieściło się ze cztery, pięć biurek. I na przykład cała księgowość to był jeden pokój. Całe tam inne biuro, tam materiałowe, czy coś takiego, nie wiem, jakie to, czy sprzedaży, czy coś, to było w drugim pokoju i też takim dużym. Ale te obydwie pokoje były ogrzewane jednym piecem. Tutaj było, tak ponad pół metra wystawało pieca i w tamtym pomieszczeniu, tak że ogrzewał taki piec. Ale piec! Potężny, miał z dwa metry szerokości, a tu tam wystawał spod tamtego pokoju dobre 60 centymetrów. I ja wchodzę tam, a z poprzednich drzwi, z vis-a-vis, wchodzi starszyna. I on, i ja też. I pierwsza rzecz, to zaskoczyłem za ten piec, a on z drugiej strony za piec. No i patowa sytuacja. W pewnym momencie tak specjalnie od dołu krótką bronią strzelam, ale to mam przygotowane, jak się pokaże, to z tego... No ale potem odwrotnie. To on tak próbuje. I tak się... a vis a vis, o tak, jak przypuścmy, tu jest okno, a my tutaj walczymy spoza pieca z Piotrusiem. A z vis a vis, tam do okna, widzę, zbliża się "Głaz". Ja krzyknąłem: "«Głaz», uważaj!". Ale okazuje się, w tym momencie, kiedy ja zacząłem krzyczeć, on już zauważył, co się dzieje, że coś tam nie tak. I szybko upadł, położył się pod piec i ten ruski myślał, że on tam jest z tej strony, a on... partyzant. Podczołgał się pod oknem, ale co to pod oknem. Okno było na takiej wysokości, że jak się dobrze stanęło na tym, to można było przejść. Ale jednak się podczołgał i był z drugiej strony, po jego stronie, nie po

mojej. I ten obserwował tutaj na mnie i tam patrzył na niego ten ruski. Ale w pewnym momencie ja słyszę tylko krótka seria i "Głaz" go tam uspokoił i mówi: "Chodź!". No to ja szybko poleciałem i żeśmy tam dalej plądrowali. I z tych Popkowic żeśmy potem zatrzymali się w Ratoszynie. To był chyba Ratoszyn.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, ale ja mam taką do pana może propozycję, bo o akcjach u "Zapory" to byśmy porozmawiali jutro.

Konrad Strycharczyk: Tak.

Maciej Żuczkowski: A dzisiaj, bo chciałbym jeszcze pana spytać o tę przysięgę, którą składał pan u "Zapory". Pamięta pan, jak ona brzmiała?

Konrad Strycharczyk: Bo co?

Maciej Żuczkowski: Pamięta pan tekst tej przysięgi?

Konrad Strycharczyk: A już teraz nie.

Maciej Żuczkowski: Ale ona była podobna do tej akowskiej, czy?

Konrad Strycharczyk: [niezrozumiałe, 00:56:03] akowskich.

Maciej Żuczkowski: Ona była podobna do przysięgi akowskiej, czy to była inna przysięga zupełnie?

Konrad Strycharczyk: Oni szaroszeregowej nie mogli znać, bo to była akowska. Więc ten dlatego widocznie "Zapora", jak usłyszał, że to jest... bądź oni tam wiedzieli, gdzie, kto, jak pracował i z kim. To wiedział, że ten "Ojciec Jan" miał dużo młodzieży właśnie takiej, jak w Rudniku tam.

Maciej Żuczkowski: Jak to Orleńta później.

Konrad Strycharczyk: Orleńta były nie tylko w Rudniku, w Przędzeli i w Krzeszowie. W Krzeszowie była też bardzo ładna organizacja. A w tej chwili w Krzeszowie jest druga drużyna jako bratnia drużyna tej mojej, założonej w Rudniku.

Maciej Żuczkowski: A chciałem się zapytać, skąd ten pseudonim "Słowik" w oddziale właśnie?

Konrad Strycharczyk: No bo wszyscy mówili, że "tak ładnie śpiewasz, jak słowiczek". Ja mówię, no to niech będzie "Słowik".

Maciej Żuczkowski: A mógłby nam pan zaśpiewać ten marsz żołnierzy "Zapory" teraz na przykład?

Konrad Strycharczyk: Mogę zaśpiewać to, ale przedtem jeszcze jedną ważniejszą pieśń zaśpiewam. Ale to, co teraz będę mówił, warto nagrać. To jest ważne. Między innymi walczyliśmy u "Zapory" także, byli niektórzy, którzy przyszli ratować ojczyznę. Kiedyś nasi, z naszych stron właśnie, tam z Małopolski i z tamtych stron tego Sandomierza, naszych Tarnobrzega, Stalowej Woli, Niska, wyjeżdżali za chlebem do "Hameryki". I tam jeszcze pisali długo, i żeby przysłać tutaj do tego. A potem zadowolili się i dopiero jak trzeba było kości złożyć, to przyjeżdżali, ale tam zostawały ich dzieci i dalej gospodarzyły się na tym, co ten wypracował. A jak ojczyzna się znalazła po tych, pierwsze była radość, że jest po 123 latach, a teraz zaatakowana, to wnukowie tamtych niektórzy przyjeżdżali i walczyli też w oddziałach partyzanckich. Nie tylko naszym, naszym tylko, zdaje mi się, dwóch, ale już więcej u "Ojca Jana". Bo to wszystko byli przeważnie wsiowi ludzie, którzy jechali do Hameryki za chlebem. I oni śpiewali pieśń, którą za chwilę będę śpiewał, a która w tej chwili jest bardzo aktualna, bo znowu nasi pojechali za chlebem, bo tu im nie dają pracować, bo zniszczyli wszystko celowo i świadomie. I w ten sposób ta piosenka jest aktualna, zaraz ją zaśpiewam. Tylko ponieważ tam mi coś wlało... [śpiewa] "Jeden nas łączy los, I jeden łączy ból, Jedna tęsknota do tych naszych lasów, do tych pól, Jedna nas łączy droga, Lepsza albo zła, Ale w Polaku - Polak zawsze brata ma. Więc wszyscy razem, Bracia, łączmy się już dziś, Łączmy się, Łączmy się już dziś. A wtedy jedna wspólna zrodzi się w nas myśl, Gdy trąbka pobudka zagra, Wiarę w nas każdy ma, A Bóg nam swą pomoc da. Wrócimy tam, Wrócimy tam, dokąd serce wciąż tęskni i marzy, Wrócimy tam, Wrócimy tam, aby zerwać ojczyźnie kajdany, Wrócimy tam, Wrócimy tam, wszyscy razem - i młodzi, i starzy, Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz kraj kochany!". Nie jest to aktualne w tej chwili? I to śpiewałem na Placu Grunwaldzkim teraz, 1 marca, jak było tam około 4 tysięcy ludzi. I wtedy wszyscy, nie wiem, czy wszyscy, ale dużo było słyszeć "Dziękujemy, dziękujemy!" i brawa. I to ma swoje znaczenie, że naród dojrzewa. Naród się budzi, a szczególnie młodzież. I to jest bardzo cenne. No a teraz może rzeczywiście zaśpiewam to. To prawie nasz hymn, "Zapory". [śpiewa] Maszerują cicho niby cienie Poprzez lasy, góry i pola. Niejednemu wyrwie się wesełnienie, Lecz idą naprzód, taka ich dola. I idą wciąż naprzód, bo taki ich los, I ani ból, ani tęsknota Z tej drogi zawrócić nie zdoła ich nic, Bo to jest "Zapory" piechota. A gdy księżyc wyjdzie spoza chmury, I nastanie cicha, letnia noc, To leśnej piechoty ciągną sznury, I widać wtedy siłę i ich moc. I choć twardą im była germańska dłoń, Do boju ich parła ochota. I zawsze zwycięstwo musiało ich być, Bo to jest "Zapory" piechota. Teraz za drugiego okupanta Jeszcze jedna nam nie oschła krew. Po zdradziecku sięga nam do gardła, Na tajgi Sybiru chce nas więzić. Pomylił się Stalin, pomylił się kat, Na nic ta ubowców hołota. Za Zamek, za Katyń, za Sybir, za krew, Zapłaci "Zapory" piechota. Za Zamek, za Katyń, za Sybir, za krew, Płaciła "Zapory" piechota! Ot, co. Taka piosenka.

Maciej Żuczkowski: Dziękujemy.

Konrad Strycharczyk: A jeszcze są inne. [śpiewa] "Niech na zawsze w pamięci zostanie Sława Polski - partyzancka brać! Nie wiedzieli, czy jutro ich stanie - Byle wrogów przeklętych wciąż prać! Byle wrogów przeklętych wciąż prać! Nie wiedzieli, co trudy i znoje, Partyzancka to dola już jest. Własny kąt i choć łóżko mieć swoje Wydawało się złudą i snem. Wydawało się złudą i snem. A gdy każą wyroki ponure Za Ojczyznę ci zginąć i lud, Nie dostaniesz, ty, tam w niebie bury, Nie na marne twój zgon i twój trud! Nie na marne twój zgon i twój trud! Święty Pieter ci bramę otworzy, Spyta "Kto?" "Z partyzantki jam jest!" Wejdiesz w ogród spokoju i zorzy, Boś jest Polak i walczyłeś fest! Boś jest Polak i walczyłeś fest!".

N0763_kr_FINAL_4_5_1

Maciej Żuczkowski: A czy to prawda, że "Zapora" lubił słuchać, jak pan śpiewa?

Konrad Strycharczyk: Tak. I nieraz, jak tak myślał, on tak znał mapy, a miał takie dokładne, nie te zwykłe, tak znał mapy, że on każdą tę prawie ścieżkę tam po wsiach różnych tych wiedział, jak... je rozpracowywał w myślach. Jak ich zejść, jak ich... ten, to tu puszczyć tych, a ja sobie z tamtej strony. I wtedy tak niby do siebie, niby tam do mnie, jak byłem blisko czy przechodziłem. "Słowik, Słowik, śpiewaj!". Dobrze. Siadałem na wiśnie albo obok niego gdzieś na jakiejś tam pieńku, słupie i też nie dla niego, dla siebie, śpiewałem sobie, a ja mu to tak dodawało spokoju wewnętrznego i trzeźwej myśli do opracowania do opracowania następnej akcji.

Maciej Żuczkowski: Bo szczególnie taką ulubioną piosenką była piosenka "Wilki żerują po lesie", prawda?

Konrad Strycharczyk: Tak, ale to... To jest przeróbka, bo to jest zasadniczo marynarska piosenka. Tośmy tam przerabiali tak trochę. To jest taka... Ale były inne ładne piosenki, na przykład ja, tak jak jestem na spotkaniach dużych, gdzie są sale po 300-500 osób, to powiadam: "Proszę państwa, kto z Państwa słyszał - bo tego w radiu, w telewizji, w różnych tych to na pewno nie - ale gdzieś tę melodię, tę piosenkę, którą zaśpiewam, to bardzo bym prosił, żeby powiedział mi, gdzie i w jakich okolicznościach, czy jeszcze ktoś to śpiewał i czy ktoś to jeszcze zna". Ale wam zaśpiewam.

Maciej Żuczkowski: Poprosimy.

Konrad Strycharczyk: Nazywa się "Pożegnanie ułana". "Tam w pękach bzu"... Nie da śpiewać świnia. Zaraz. "Tam w pękach bzu, gdzie altana, żegnało dziewczę ułana. Żegnaj, dziewczyno kochana, idę na krwawy, na bój. Zdobędziem wrogów sztandary, zagrzmia nam złote fanfary, tylko dochowaj mi wiary.

Idę, lecz wróć. Jam twój. Podaj mi usta, bo już czas się na koń. Szable w dłoń, wroga goń. Szable w dłoń, wroga goń. Szarża, szarża, szarża! Jak pioną drwą konie. Padł, padł młody ułan na błonie, w oczach zwycięstwo mu płonie i ojczyźnie daje swą krew. Tam w pękach bzu, gdzie altana, zrywa się ciche szlochanie. Nie czekaj dziewczę ułana. Ułan nie wróci na zew. Znajdziesz tam w polu z brzozy krzyż, w kwiatach grób, ten, co dla ojczyzny jak graniczny tkwi słup. Tam ukochany rycerz twój trzyma straż. Nie płacz więc dziewczę, nie. Z jego krwi Polskę masz".

Maciej Żuczkowski: Jaka to melodia jest?

Konrad Strycharczyk: Słyszeliście to gdzieś kiedyś? Dupa zimna. A ja to śpiewałem właśnie staremu też. Staremu, jak on ode mnie, był zaledwie trzy lata starszy.

Maciej Żuczkowski: A skąd ta ksywka "stary"?

Konrad Strycharczyk: Słucham?

Maciej Żuczkowski: Skąd ta ksywka "stary"? Dlaczego akurat "stary", tak na niego się wołało?

Konrad Strycharczyk: Tak się zawsze mówi na dowódców, obojętnie, jakich. Mówię: "Słuchaj, ty nie pij już więcej, bo jak cię stary zobaczy, to"... Jaki stary? On był drużynowym, a potem w hufcu pracował w Tarnobrzegu. A ja byłem drużynowym w Rudniku. Tylko on miał trzy lata, trochę starszy byłem. A Jędrusie koło Sandomierza. Też, to harcerz. I to jest dla mnie trochę przykre. O tym się nie mówi, że to wszystko byli harcerze. To można też powiedzieć, że to z Szarych Szeregów. Dlatego że to był harcerz przedwojenny. I gdziekolwiek się pojawił harcerz, momentalnie był patriotyzm, była robota i odpowiednio wszystko. I pewność, z kim się ma do czynienia, jak powiedziałeś, że harcerz, przed wojną.

Maciej Żuczkowski: A opowiadał coś "Zapora" o sobie na przykład, o tych latach takich przedwojennych?

Konrad Strycharczyk: Bardzo mało. Nie było takiej okazji, a to jedynie przy ogniskach mogły być takie wynurzenia. Ale ognisko teraz a wtedy to różnica. Wtedy ognisko było po to, żeby trochę onuce wysuszyć, żeby buty trochę podeschły, czy jakiś tam inny ciuch, który był zamoczony. A przy okazji właśnie tak spojrzeć na siebie spokojnie i tak dalej. A to jeszcze nie jest taka pełna atmosfera, tym bardziej, że nigdy nie wiadomo było, czy za dwie godziny będzie się żyło, czy nie zaskoczy jakiś inny oddział, czy nas nie otoczy, czy jakiś skurwysyn nie zdradził. Dlatego często było tak, że jak żeśmy wychodzili po robocie, po załatwieniu tych posterunków, z tej miejscowości, to ludzie się pytali z dobrego serca: "Panie komendancie, a jak mówić? Że poszłicie w tę stronę?" - "Oczywiście. Widzicie, w którą

stronę idziemy". Ale tylkośmy zaszli, że nas nie było widać, z powrotem i zupełnie w odwrotnym kierunku. I znowu tam dopiero potem... I po każdej takiej akcji no minimum 10-15 kilometrów trzeba było odskoczyć, minimum. A to nie spacerem, nie aleją, nie drogą chłopską nawet, tylko po lasach, po różnych... te rowy po tamtej wojnie światowej, okopy i tak dalej. To wszystko trzeba było... A zimą się idzie, odsuwa od siebie gałąź z naładowaną śniegiem, żeby przejść. No i potem, jak idzie dalej, to tę puści, a gałąź mnie łups w gębę, jak stary chłop przyładowałby, z tym śniegiem. I innym razem, znowu śnieg, było kilka akcji, to już żeśmy tak szli zmęczeni, że jeden do drugiego mówi: "Słuchaj, to teraz ty śpij, ja cię trzymam. I szli pod ręce, i tamten spał. "Uważaj, będzie dziura". No to tamten się trochę skoncentruje, żeby nie wpaść tam, bo to będzie... I "No to teraz ja", po jakichś tam minutach piętnastu, dwudziestu. Dobra, dobra, dobra. I tak się trzymali mocno, i szli razem.

Maciej Żuczkowski: A cieszył się "Zapora" jakimś takim szacunkiem wśród żołnierzy?

Konrad Strycharczyk: Jak co?

Maciej Żuczkowski: Czy cieszył się "Zapora" szacunkiem wśród swoich podkomendnych?

Konrad Strycharczyk: On był bardzo dobry dla podkomendnych. Przede wszystkim pieczołowity. Wielokrotnie swój własny kożuch oddał dla wartownika, jeżeli trzeba było, żeby musiał stać, jak było chłodno, zimno czy coś, a nie miał nic takiego. To są... A poza tym tak się starał i przeżywał, jak zginął któryś z naszych. Tak się starał, on tak potrafił się wywinąć z pułapki różnej. Ale poza tym był doskonałym organizatorem. Zanim się ruszyło do ataku, to on powiedział: "Słuchajcie, w razie boruty to wtedy wy będziecie najbliżej, to przez ten strumyk i tam w górę, w ten las. A wy na leśniczówkę i do gajówki. Nie wszyscy razem, rozdzielić się. Tylko żebyście wiedzieli, że ta grupa tu, a to tam". I my potem nagle, ni stąd, ni zowąd: "No gdzie mamy? Gdzie ty masz uciekać?". A ten, jakby rozmawiał, nie słyszał, nie rozumiał, nie odpowiedział, to go odpowiednio ustawił. "Nie dbasz o swoje życie, przecież słuchaj, co ci mówię. Tam uciekacie". Tak że wszystko było przewidziane w razie czego. A potem spotkanie będzie tam na gajówce i tam w jakiejś tam wiosce. Bokiem ci mają dojść, tamci dojść, kiedy dojdą, to tam jest zbiórka znowu, idziemy dalej. Tak że to był doskonały dowódca. Ale też nic dziwnego, jeżeli on na szkole tam w Londynie był prymusem, najlepszym, i dostał od Mikołajczyka kordzik. Wiecie o tym, czy nie? Nie wiecie? A, to niedobrze. On jako prymus w Londynie dostał własny kordzik, wyjął i dał mu Mikołajczyk w prezencie. I popatrzcie, co się dzieje. Teraz, już w tym okresie, kiedy nie było AK, było WIN i Mikołajczyk był w rządzie, i trzeba było... i "Zapora" już zgłupiał, tę amnestię... Nie amnestię, tylko zrobili ujawnianie się, że niby wszystko w porządku, jak się ujawni, a to guzik prawda, to było tylko po to robione, żeby nas

wyciągnąć z lasu i potem albo zakatować na śmierć i wrzucić z łupinami po kartoflach do gnoju, albo wysłać tam na Sybir. Albo też spowodowane było przypadkowym niby wypadkiem, gdzieś potrafił go samochód czy coś. Pilnował już jeden taki kierowca, gdzie on, jak przechodził, to w niego i: "No wypadek". Tak.

Maciej Żuczkowski: A opowiadał wam na przykład "Zapora" na temat sensu walki, były jakieś takie pogadanki na przykład?

Konrad Strycharczyk: Pogadanki to... To nie były takie pogadanki, że oficer: "Słuchajcie, chodźcie, teraz będzie pogadanka" czy coś. Tylko to były wstawki w pewnych momentach potrzebnych wtedy, kiedy trzeba było zorientować wiarę o pewnych rzeczach.

Maciej Żuczkowski: A pamięta pan, co na przykład "Zapora" mówił żołnierzom?

Konrad Strycharczyk: Przeważnie o pamiętaniu o bezpieczeństwie własnym, bo jak pilnujesz własnego bezpieczeństwa, to pilnujesz całego oddziału. Bo jeżeli ty głupstwo zrobisz, to pomimo to, że sam stracisz czy zdrowie, czy życie, to jeszcze oprócz tego zdradzasz w środowisku naszą obecność i tam wszyscy cierpimy. A już szczególnie nie lubił alkoholizmu. Dlatego on powiedział wyraźnie: "Możesz wypić kieliszek, możesz wypić pół litra, ale jak cię zobaczę pijanego, to koniec z tobą".

Maciej Żuczkowski: Jakie kary były na przykład za coś takiego?

Konrad Strycharczyk: No tam nie było akurat u nas potrzeby do takiej kary. Przynajmniej w tym czasie, jak ja byłem. No i jeszcze jest jedna ważna rzecz moi drodzy. Muszę powiedzieć to otwarcie i szczerze, że nie mogę się równać z takim "Morwą" czy "Kowbojem", którzy od początku, jak tylko nastąpiła... tam już na wsi ich tam atakowali Niemcy, to od razu musieli się bronić i stawać do broni, i wstąpić do oddziału. Ja poszedłem dopiero ze szkoły oficerskiej, żeby się ratować przed tym... bo nam powiedzieli właśnie na pogadankach, jak były rozmowy w konspiracji, że jest taka sprawa, że Rosjanie wyrokowcom, którzy mają wyrok śmierci, dają do wyboru: wyrok śmierci czy idziesz pod Lenino albo tam gdzieś pod Berlino.

Maciej Żuczkowski: To twarde kopanie.

Konrad Strycharczyk: To oni, oczywiście, tak i tak ma w łeb dostać czy tam jakoś powieszony, czy co, no to się godzi. Ale jak już poszedł na ten pierwszy front i nie zginął, to z tyłu z taką tetetką, w pięknym garniturku, oficer informacyjny, w łeb, w łeb. I to nas czekało, i to ja wiedziałem, że mnie też czeka, jak mi powiedział ten, że idę na pierwszy front.

Maciej Żuczkowski: A gdzie pan po raz pierwszy usłyszał o "Zaporze", że w ogóle istnieje taki...

Konrad Strycharczyk: Kiedy co?

Maciej Żuczkowski: Kiedy pan pierwszy raz w ogóle usłyszał o "Zaporze", że jest taki...

Konrad Strycharczyk: Kiedy usłyszałem?

Maciej Żuczkowski: Tak, że jest taki oddział i że walczy z komunistami.

Konrad Strycharczyk: Usłyszałem już wtedy, jak była w Ulanowie, w Rudniku rozmowa, rozmawiało się o innych oddziałach. Wołyń, jak poszedł pod Leżajsk, tamci tu, ten... Ale to w naszym regionie. Ale już wiedzieliśmy, że jest tam taki właśnie oddział "Zapory", że "Cichociemnego"... bo to jest ważne, że z tego, który został spuszczone, to tu już do nas doszło, a poza tym, już później, jak już tam byłem w tej szkole oficerskiej, to też było już wiadomo... tam było bliżej Urzędowa, a on więcej koło Urzędowa się początkowo kręcił. A potem trzeba było gdzie indziej, a był taki okres, że musiał pójść za San, tutaj, koło Rzeszowa, i tam koło Sanoka walczyć też. Ale to w tym czasie, kiedy właśnie już powiedział do mnie: "»Słowik«, już jest tak... Chodziliśmy po stowie, po pięćdziesiąt, po dwadzieścia po dziesięć, a teraz jest nad dziewięć i właściwie ciężko wiedzieć, kto jest kto, bo nigdy nie wiadomo, czy ten, do któregośmy wchodził, czy jego tam krewny, czy ktoś, czy tam jakaś dziewczyna nie wyszła za mąż za takiego łowcę, i przyjdiesz, i nie ma się gdzie właściwie... Już nam się pali pod nogami, wobec tego... My tak czy inaczej, byśmy się trzydzieści razy ujawnili, to i tak w czapę, i tak w czapę. A ty idź, ujawnij się i próbuj żyć". Ja mówię, jak wy tak w czapę, to ja też z wami i koniec. "Co?". To się tak zachnął i spojrzał na mnie, mówi: "Taka z tobą rozmowa? Wobec tego masz cztery dni i opuszczasz oddział, a my idziemy na inny teren, bo tu już nie możemy się"... I poszli wtedy za San. Mówi: "Dam ci namiary, dam ci tam... Nic nie notować, ale będziesz wiedział, w jakim będziesz terenie, to ci dam, do kogo się zwrócić, żeby ci trochę pomógł. No i jesteś młody, inteligentny. Spróbuj przeżyć. Może ci się uda. Ujawnisz się"... Ja mówię, nie ujawnię się. "No to już twoja sprawa". I nie ujawniłem się, ja się do końca nie ujawniłem.

Maciej Żuczkowski: A jeśli chodzi o "Zaporę" i jego życie prywatne? Czyli, czy miał jakąś narzeczoną albo jakąś dziewczynę na przykład wtedy, kiedy...

Konrad Strycharczyk: Czy on miał?

Maciej Żuczkowski: Tak.

Konrad Strycharczyk: "Zapora"? Nie. Nie, nie było tak, że miał jakąś oficjalną dziewczynę, tylko była duża zażyłość właśnie z tą, która, jak był ranny w nogę, w piętę, nie mógł się... to "Miś" go na plecach wyniósł z zagrożonego terenu, a potem, jak był na melinie, żeby się podleczyć, to właśnie ta nasza sanitariuszka się nim opiekowała. Ja tu mam to zdjęcie ich, tej sanitariuszki i jak jesteśmy na pobycie u Lecha Kaczyńskiego. Tylko ciągle nie ma kiedy tego oglądać, bo ja tutaj klepię i klepię.

Maciej Żuczkowski: A jeśli chodzi jeszcze o "Zaporę", to on jest często fotografowany z papierosem. Podobno tak sobie radził trochę ze stresem?

Konrad Strycharczyk: Nie palił.

Maciej Żuczkowski: Nie palił?

Konrad Strycharczyk: Nie. On jest także fotografowany z tą kozą. Znacie to zdjęcie. To takie chwile były takiego odprężenia trochę nieraz, że można było sobie... Raz żeśmy też weszli do kościoła, w całym tak szeregu w środkuśmy między rzędami stanęli. Na wsi takie. A jakie były łzy u ludzi. Płakali, a myśmy śpiewali razem z nimi te pieśni kościelne. Takie to miłe wspomnienia. Jeżeli można powiedzieć, że to wszystko było miłe. Ale były takie okoliczności. Takie „douce échappée” mówiąc z francuska.

Maciej Żuczkowski: A udział w tej mszy to w jakim rejonie był? Nie pamięta pan dokładnie? Gdzie ten kościół był? W której miejscowości?

Konrad Strycharczyk: O, to było... Nie w naszym.

Maciej Żuczkowski: Gdzieś w okolicach Chodla?

Konrad Strycharczyk: Nie, to było... O zgrozo, to było blisko tej Moskwy, tej miejscowości.

Maciej Żuczkowski: Od Moniaków, tak?

Konrad Strycharczyk: Moniaków, tak. Ale to od Moniaków tam jakieś 12 kilometrów. Taka mała wioszczyna, nie pamiętam...

Maciej Żuczkowski: Czyli gdzieś w okolicy Poniatowej?

Konrad Strycharczyk: Chyba tak. A w Poniatowej to teraz brałem udział, jak żeśmy wyciągali z innych grobów, bo tak na łapu-capu byli chowani, bez księdza, bez niczego, aby tylko ciało schować, jak Ruski i NKWD, tośmy w Kijanach byli. Tak, to w Kijanach chyba. Tak. W Kijanach, i potem powyciągani, i dopiero

poszli do właściwych swoich grobów. I była msza święta, poszedł ksiądz, poświęcił, tak jak normalnie... Dopiero mieli właściwy pogrzeb chrześcijański. I tam żeśmy też z "Morwą" śpiewali "O Panie, któryś jest na niebie". A teraz, pierwszego, jak były te uroczystości w Szczecinie, to tę piosenkę "Jeden nas łączy los" śpiewałem tam na Placu Grunwaldzkim, tam było około 4 tysięcy ludzi, i potem było "dziękujemy", to aż serce się... I rzuciły się na mnie kobity, jakieś starsze panie, dawały kwiaty i całowały mnie. I potem mnie zawieźli do kościoła, Dziega odprawiał mszę, a na zakończenie, jak zobaczył, że ja jestem... Bo jak szedł w kawalkadzie, sztandary, a potem oni szli z księżmi do ołtarza, to zatrzymał się przy mnie, ja tam siedziałem w ławce, przywitał się, pobłogosławił i już wiedział, że ja jestem, to po mszy do mikrofonu mówi: "A teraz proszę pana Konrada Strycharczyka, żeby zaśpiewał »Panie, któryś jest na niebie«, a wszystkich proszę, żeby dołączyli do tego śpiewu". No i ten ksiądz, co mu trzyma ten mikrofon, przyszedł do mnie z tym mikrofonem i jak ja tylko pierwsze dwa tony wydobyłem, to zobaczyłem, co to za mikrofon jest. To jest mikrofon. Jak on podawał, to jak się spałem, jak dałem gaz, to katedra zadrżała, a ludzie jeszcze pomogli, to to był śpiew.

Maciej Żuczkowski: A chciałbym jeszcze... ostatnia moja prośba dzisiaj, bo moja propozycja jest taka, żeby już na dzisiaj powoli skończyć tę sesję, bo pewnie też jest pan zmęczony, moje ostatnie pytanie jest takie, czy prośba moja, jakby mógł pan opisać, jak fizycznie wyglądał "Zapora". Jak fizycznie wyglądał "Zapora"? Jaki miał wygląd, jakiego był wzrostu? Jego cechy takie po prostu fizyczne...

Konrad Strycharczyk: No więc to to mówiłem na wstępie, jak mnie przyprowadził ten "Oset", to ja to opisywałem, nie wiem, czy to może niedokładnie mówiłem, ale wyobrażałem sobie, że to jest potężny... bo to jest dowódca, który tak jest... jako Bóg wie co, wszyscy go apoteozują, że to musi być potężny chłop, taki silny jakiś. No a potem, jak zobaczyłem, pytam się: "Gdzie jest »Zapora«?", a "Oset" mówi: "No widzisz, o ten, stoi". Nie pokazał ręką, tylko twarzą, żeby... A ja mówię: "To jest »Zapora«?". On mówi: "No tak, a jak ty chciałeś, nie podoba ci się?". A ja mówię, słuchaj, przecież to... Ja myślałem, że to będzie potęga, chłop, a to jest przeciętny, nie za wysoki, trudno mówić, że mały, ale nie za wysoki, skromnie ubrany, w mundur, koalicyjka tylko w poprzek, krótka broń, a z drugiej strony mapnik z tymi papierami i furażerka na głowie. I takie skromne butki, długie. Tak że to taki właściwie niepozorny, żadnych dystynkcji, żadnych wielkich jakichś tych... Także prestiż jego uzyskiwany był nie tym swoim groźnym wyglądem, że jak spojrzał, to, przypuśćmy, piorunami bił. Nie. Nie, właśnie tym, że tak umiał sobie z ludźmi bezpośrednio współżyć, z każdym po kolei, z nami wszystkimi, bo umiał co mówić, nie jako dowódca, żeby tam przed nim salutowali, to wstawali, to... Owszem, jeżeli była taka sytuacja, że słuchaj, trzeba zrobić to, to, to, idź teraz, pójdziesz tam i załatwisz... "Tak jest", no to wtedy trzeba zasalutować,

stuknąć obcasami i poszedł. Ale jak tak, w normalnym życiu, codziennym, to taki sam jak my wszyscy. Bardzo życzliwy i rozumiejący się wzajemnie z nami.

Maciej Żuczkowski: Ale miał podobno taki przenikliwy wzrok, tak przynajmniej z wielu relacji...

Konrad Strycharczyk: O tak, on tak patrzył, spozrzał... Ale teraz porównać ten wzrok, który... jak żeście oglądali tę taśmę moją, który ma "Opal", jego zastępcę... Widzieliście? Te oczy, jak latały. To to jest, to jest nienormalne, niecodzienne, to się od razu rzuca człowiekowi w oczy. A u niego nie, to jest łagodny... normalna sprawa. Z tym, że chwilami była taka ostra koncentracja, między innymi na mnie wtedy, jak on tak spozrzał, tak jedno oko jakby przymrużył i jakby mnie chciał przeszyć, zrozumieć, co jest w moich bebechach, co ja jestem, czy ja tu jestem nasłany, czy ja rzeczywiście jestem w potrzebie, czy jestem patriotą, czy nie. Ale jak powiedziałem, że byłem tam w harcerstwie, bo tam kilka słów żeśmy rozmawiali, "No a dlaczego do Ulanowa?". Mówię, bo tam moi wujkowie byli u ojca Jana Przysiężniaka. "A tak. I co z nim?" - "Ano są na Sybirze już, dlatego nie mogę tam pojechać". A do rodziny tym bardziej, bo przecież tam pojedzie patrol zaraz. A on tak wtedy ten taki wzrok, taki ostry, który mnie przeszywał, złagodniał i jak usłyszał, że u Przysiężniaka, że ja znam "Konara", że tego... no to już wtedy, czy przysięgę składałem. Ja mówię, składałem. Nie pytał się, czy szaroszeregową, czy akowską, to już się nie pytał. Tylko tak się chwilę zastanawiał: "Ale to jeszcze raz ułożysz u nas". Ja mówię, bardzo proszę. "A pseudonim?", ja mówię, niech zostanie ten sam. "»Jadzinek«, weź go sobie do przysięgi". No i tak cała ta...

Maciej Żuczkowski: A gdzie ta przysięga się odbyła?

Konrad Strycharczyk: Krótka rozmowa. A ta przysięga była przy dwóch ludziach. Był "Jadzinek" i był właśnie "Jur". "Jur", ten brat tego...

Maciej Żuczkowski: Ale ona miała miejsce w Popkowicach, czy gdzieś w lesie?

Konrad Strycharczyk: Nie, w lesie. Nie od razu tutaj. Ale to była pewnego rodzaju jak gdyby uroczystość. Dlatego że było ich dwóch, ja, sanitariuszka, i wszyscy stali na baczność, i ja powtarzałem za "Jadzinkiem". I tam, jak skończyłem, podszedł, podał rękę, objął mnie: "Witamy w oddziale". Ale mimo wszystko tak czułem co jakiś czas, ja trochę na bok gdzieś tam, nie wiem po co, tam gdzieś szedłem, to już tam były takie obserwacje od przeciętnych członków oddziału. Nie tylko od dowództwa.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, zanim spytam pana o akcje w oddziale "Zapory", to chciałem spytać o jedną rzecz.

Konrad Strycharczyk: Ale o które akcje?

Maciej Żuczkowski: O Kazimierz, o Kluczkowice i o Ratoszyn.

Konrad Strycharczyk: Ratoszyn. To była taka seria, jedna.

Maciej Żuczkowski: Tak, to była seria całych akcji. Ale zanim te akcje nastąpiły, czy był pan jakoś przeszkolony w oddziale? Jak pan trafił do oddziału, czy był pan jakoś przeszkolony w zakresie obsługi broni, zasad poruszania się po terenie? Jak to wyglądało?

Konrad Strycharczyk: Nie tylko przeszkolony, ale przecież... nie wiem, czy mówiłem o tym wcześniej, że byłem strzelcem wyborowym z RKM-u. W pewnym sensie sztuką jest, jeżeli ktoś słucha, a zna RKM "dichtierowa", rosyjski, to tak pociągnąć cynglem, żeby tylko trzy strzały strzeliły. Bo normalnie, jak się pociąga z RKM-u, to idzie seria i dawaj. A tu, żeby tak delikatnie pociągnąć, mieć takie wyczucie, że tylko trzy strzały wyskoczą, to to już jest sztuka. A ja to robiłem. A poza tym miałem tak dobrze oko jakoś ustawione, że pociski szły tam, gdzie trzeba było. I byłem wyszkolony.

Maciej Żuczkowski: Bo ten karabin, "dichtierow", otrzymał pan na drugi dzień po przybyciu do oddziału, prawda?

Konrad Strycharczyk: No nie na drugi dzień, dopiero tak gdzieś za cztery dni. Musieli zrobić rozeznanie. Pierwsze strzelałem, jak trajektorię strzałów, normalnie z karabinu, tam z "tetetki", tam co... ale wreszcie wziąłem karabin "dichtierowa", lekki, i jak zacząłem z niego strzelać, tak... bo normalnie wszyscy się lękają, bo on odbija w ramię, a trzeba się do niego tak dobrze przytulić jak do Jadzi. I wtedy on dobrze celnie strzela. Trzeba się po prostu z nim zgrać. I ja poprosiłem, że raczej jest spośród jakichś tych możliwości, jeżeli to ja się z tym RKM-em może nie... "Bierz, bracie". No to wziąłem. Potem, dopiero po jakimś czasie, pomyślałem sobie, ech, ćmoku, mogłoby się jakiś lżejszy. Potem jak się szło po jakiejś akcji czy coś, to minimum 15 kilometrów trzeba było zrobić, jakiś odskok czy coś. No to wtedy było co nieść. Amunicyjni swoją drogą mieli, ale ten sam RKM to już trzeba było samemu nosić.

Maciej Żuczkowski: A miał pan jeszcze jakąś broń oprócz tego? Jakiś pistolet albo jakiś rewolwer?

Konrad Strycharczyk: A tak, to już tam każdy w miarę swoich możliwości odzyskał albo... Bo niektórzy, którzy byli dawniej już wiele lat, nawet kilka lat wcześniej, no to już sobie zdobyli jakieś tam parabellum czy inne bronie, na Szwabach czy gdzieś. A ja po prostu musiałem dostać, więc dostałem "tetetkę". To

taki lekki, ale w pewnych momentach bardzo przydatny, przy bezpośrednim działaniu, ratowaniu się nieraz.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, 19 maja 1945 roku. "Zapora" zdecydował się rozbić posterunek UB i MO w Kazimierzu...

Konrad Strycharczyk: Tak, dlatego że bardzo nieładnie, ja to tak delikatnie mówię, że nieładnie, bardzo ordynarnie wręcz zachowywało się i UB, i NKWD przy rekwizytowaniu, bo tam trzeba było jakieś odpłatności, to rolnicy tam mieli coś, i rekwizyty. Oni zarekwirowali jakiś... Mieli rozkaz zarekwirować pewne, tylko tam jedną świnię czy dwie krowy, czy odwrotnie. A oni, co im się podobało, tu kaczkę, tam brał, tu... poszedł do śpiżarni, wyciągał słoninę od gospodarza, który miał sobie to dla całej rodziny na jakiś czas. No i nawet inne rzeczy zabierali też. Tak po prostu ordynarnie zachowywali się jak... A przecież to byli przyjaciele, nazywało się, a jak gorsi okupanci, prawie jak Niemcy. No więc "Zapora" wtedy, kiedyśmy mieli możliwość skorzystać z tych samochodów, bo zarekwirowano im te samochody, nie można było zbyt długo trzymać partyzantce, ponieważ momentalnie by nas rozgryźli. Dzień, dwa, trzy to dużo, i to wszystko. I żeby wykorzystać ten czasokres, no to w tym czasie żeśmy odrobili kilka akcji jedna po drugiej, to celowo w takich miejscach, że jak się tu kończyło, tam się zjeżdżało [niezrozumiale, 00:36:12] gdzie ci bandyci, to my już w tym samym czasie, kiedy oni się tam martwili, gdzie ich szukać, już zrobiliśmy następny. I potem następny, i dopiero potem się spaliło te samochody.

Maciej Żuczkowski: A pamięta pan szczegóły akcji pod Kazimierzem, jak ta akcja wyglądała?

Konrad Strycharczyk: Tak. Więc myśmy mieli możliwość... jak te samochody były zabierane, to okazało się, że te świntuchy, Rosjanie, mieli jeden samochód ludzi swoich ubranych w nasze mundury. Więc oczywiście mieliśmy już gotowe mundury, żeśmy wzięli, ubrali to wszystko, tylko jedynie żeśmy zamiast kaczki, tej wrony, czy co oni tam zakładali, tośmy kładli sobie nasze orły z koroną na czapki. I było poza tym zupełnie podobne jak ta armia niby ludowa. I tak właśnie uzbrojeni, tak wyglądający, dowiedzieliśmy się od dowódcy, że tam, w tym Kazimierzu, już za dużo ludzie cierpią, za dużo jest skarg, trzeba tych tam gierojów uspokoić. "Pojedziemy, chłopcy, tam do nich, zajrzemy tam do nich porozmawiać". Tak sobie zażartował no i siadamy, i jedziemy. Przyjechaliśmy na rynek piękny tam, w tym Kazimierzu, ta studnia i tak dalej, wiara rozeszła się przedtem, dokładnie dostaliśmy dyspozycję, kto, gdzie, kiedy. "Morła" miał ubezpieczać od strony Puław, z kolei "Rusek" miał rozbrojenie w Urzędzie Miejskim, jak będą ludzie tam... przepatrzeć, czy tam są ci Rosjanie, czy coś. I między innymi rozbrojenie, poczty, żeby nie można było... Z kolei ja dostałem to zadanie, żeby tę pocztę zrobić. Ona od frontu była już zamknięta. Więc żeby to tak

oficjalnie, jakbyśmy weszli nawet od frontu czy coś, to ten służbowy, który tam jest przy telefonach... a to były wtedy takie ołówki, to takie okrągłe te się wciskało i dopiero można było łączyć na jakiś tam odpowiedni teren. I placówka rozpracowała wcześniej, podali nam wiadomość, że do tego służbowego, który tego dnia miał być, bo oni wszystko już tam między sobą wiedzieli, nawet ci ludzie, z którymi rozmawiali, że on tam będzie miał dyżur, nie miał pojęcia, że rozmawia z którymś z naszych, z placówki, i tam powiedział, że do niego przychodzi taki kuzyn i trzeba było takim głosem, takim trochę ponurym, ja przez chusteczkę... On się pyta: "Kto tam?", a ja pukałem, tak mi pięścią kazał pukać, dwa pięścią tak trzykrotnie, i potem raz. On dalej się pyta: "Kto tam?" - "To ja, Włodek". No to on otworzył, ja wtedy nogę od razu między drzwi no i jemu właśnie z tej "tetetki", i jeżeli będzie spokojny i grzeczny, to mu się nic nie stanie. Kazałem odwrócić się tyłem, do ściany, i tak go miałem na oku, w takim miejscu, że miałem go na oku, a ja szybko te ołówki powyciągałem, a jeszcze na wszelki wypadek pozrywałem z tych przewodów. I wtedy od frontu otworzyłem, a do niego mówię: "Idź sobie, gdzie tam potrzebujesz". A ja wystrzeliłem wtedy raketę. I od tego momentu się zaczynało. I już przygotowany był dowódca, sam osobiście brał udział też w akcji. Już niedługo zbliżali się do tego posterunku, to było tam u takiego Kifnera, czy coś to się nazywało, był ten posterunek, a tymczasem od strony Puław nadszedły jakieś dorożki, jacyś ubowcy czy coś, no to tam działał już "Morwa". Oni zaczęli pukać z tych swoich "tetetek" czy z czegoś, no to to była taka śmieszna sprawa. Nasi pociągnęli z RKM-u i oni po koniach, w jakiś sposób tam wyjechali, że mogli uciec. Ale pierwsze, powyskakiwali do ogródków, trochę się ostrzeliwali, tam ich nasi uspokoili. Natomiast w międzyczasie, jak już to było rozpoczęte, ja myślę sobie... to doskoczyłem także do pomocy "Morwie", żeby ewentualnie tam wesprzeć go też. Ale okazuje się, nadszedł samochód ciężarowy i jeden tylko Ruski prowadził, nikogo nie było więcej, tylko tym ciężarowym tak zasuwa przez miasto, przecież niedozwolone tak szybko, ale on jechał tak, może dlatego, że słyszał już jakieś strzały, trochę zaniepokojony, i tak na tym zakręcie rąbnął w drzewo, no więc automatycznie się zatrzymał, tam go rozbroili, gdzieś tam się wzięli, nic mu nie zrobili, i bardzo dobrze, dlatego że potem okazało się, po tej akcji, jak żeśmy już obokoczyli, robota była zrobiona, zaraz powiem, jak się to skończyło, to ten właśnie Ruski ocalił ludzi z Kazimierza, że nie było represji ze strony tych ich władz. Ponieważ on stwierdził, że to nie były jakieś bandziory czy coś, to było regularne wojsko, to chyba byli nasi z wojska, tylko oni się pomylili czy co, dlaczego na nas, i takie te. I to wyratowało właśnie społeczeństwo od tego, że nie było represji. Natomiast jak to było z tym zdobywaniem samego posterunku? Posterunek był otoczony, ale tam z góry, z okien, pukali ci, którzy byli wewnątrz. To wtedy zupełnie bokiem podszedł z długą tyką "Zapora", założył gamon, nie wiem, czy wiecie, co to jest gamon, w każdym razie to nie granat, ale działający jak granat, tylko nie niszczy tego, który tym gamonem pracuje. Bo jak się granat rzuci, no to on

razi nieprzyjaciela, ale także można się samego też, jeżeli za blisko. Natomiast gamon, on działa bezpośrednio w zetknięciu z danym przedmiotem, z murkiem, z jakąś bramą czy coś. I właśnie kiedy nasi już tam jak najbliżej bramy się zbliżali, to "Zapora" do okna im postawił gamona. Jak oni zobaczyli, to od tych okien odeszli, uciekli, na ten moment tam się zrobił taki hałamuj, innym gamonem uderzono w drzwi, w tę bramę wejściową, no i w ten sposób w łatwy sposób żeśmy ich tam rozbroili. Okazuje się, starym zwyczajem nie strzelaliśmy, znaczy nie zostali rozstrzelani, tylko dostali porządną tam... parę batów. Ale jednego, zdaje mi się... Bo "Zapora" wziął na obok, nie wiem, czy to był Ruski, czy to był nasz... Bo naszym nakazane było: "To jeszcze tym razem darujemy wam, ale jeżeli będziecie nadal współpracować z nieprzyjacielem naszego państwa, to wobec tego już będziemy z wami inaczej rozmawiać". No i wtedy, tak jak to poprzednio, jak zawsze, przy każdej akcji, to dowódca miał ten zwyczaj, że zawsze mówił: "Słuchajcie, w razie boruty to ty, jak byłeś na ubezpieczeniu tam, to będzie ci blisko tamtą ulicą i tym obok tego kościoła, bo tam jest drugi kościół, do góry, a wy od razu w tę dolinę a na górze się spotkamy wszyscy razem". I każdy wiedział... Mało z tym, jeszcze dowódca, nieraz tak patrzył, "A ty powiedz, gdzie będziesz uciekał w razie, gdyby było nie w porządku tam coś, jakaś Boruta?". Tak że strzelał do poszczególnych takich gapiów, co zdawało mu się, że może on nie słuchał, tylko gdzieś rozmawiał czy coś. Tak że dokładnie żeśmy wszystko mieli przygotowane przez dowódcę, i to jest właśnie ten dowód pieczołowitości, że nie tylko chodziło o to, żeby dobrze zrobić samą robotę, ale jak się potem znaleźć. Bo to w różnych miejscach tego miasta, byli ci tu, ci tam czy gdzie indziej, od każdej strony ubezpieczali, to nie każdy mógł w tym samym miejscu i w tę samą stronę uciekać. To on wszystko przewidział, na mapie tak się znał doskonale, że to był dla niego poemat.

Maciej Żuczkowski: Proszę bardzo.

Konrad Strycharczyk: Dla nas wszystkich to było... Jakoś tak czuliśmy się usatysfakcjonowani, że "Zapora" bezbłędnie, doskonale znał się na mapach, na topografii, i to nas upewniało, że jak on coś opracowuje, to to jest pewna robota i dobrze zorganizowana będzie. No i stamtąd potem pojechaliśmy w kierunku Popkowic, do browaru, ale nie było celu, żeby jechać do browaru, tylko...

Maciej Żuczkowski: Browar był w Kluczkowicach?

Konrad Strycharczyk: W Kluczkowicach, tak, do Kluczkowic. I on nie był jako cel wyznaczony, tylko przejeżdżaliśmy koło Kluczkowic i okazuje się, nacięliśmy się na Rosjan, oni zaczęli... No to myśmy początkowo trochę byli zaskoczeni, bo nie wiedzieliśmy, że oni tam są w tej chwili, oprócz normalnej załogi, i dowódca upozorował, że z przodu tam jest trochę do nich pukania, ale błyskawicznie postął od

tyłu naszych chłopaków, tak że oni tak zaskoczyli szpetnie, że to się zrobił ogólny bałagan i właściwie oni uciekali wtedy już wprost na nas prawie, a uciekając, widząc, że to jest zagrożenie... więc się chowali między domami i tak dalej. Ja na przykład miałem takie ciekawe, trudne, ale w opowiadaniu to będzie nawet śmieszne chyba, teraz w opowiadaniu, zdarzenie. Mianowicie wszedłem do takiego dużego bloku, do pomieszczenia. Jak otworzyłem drzwi... Bo to było prawdopodobnie biuro albo jakieś tam zarządzanie czy... bo to nie tylko był browar, ale także i PGR przy tym równocześnie, zdaje mi się. Bo takie mieli tam biura duże. I ja do tego biura jednego, otwieram, a tymczasem z vis-à-vis, naprzeciw, drugie były drzwi z tamtej strony, z tego pokoju, otwiera równocześnie starszyna i ja równie tak jak i on, szybko myślimy i okazuje się, że tam, w tym pomieszczeniu, było drugie obok pomieszczenie, a te dwa, jedno i drugie, ogrzewał jeden piec. Piec bardzo duży, który wystawał z tamtej strony prawie że 60 więcej centymetrów, i z tej strony. Palenisko było albo tam, albo tu, ale już grzało na obydwie pokoje. W tym pokoju było około pięciu biurek, czyli z tego wynika, że to było albo księgowość, albo coś takiego, tam jakieś urządzenia do pracy, tych pseudo urzędników. No, ale w tej chwili on się znalazł z jednej strony za piecem, ja z drugiej strony. No i teraz patowa sytuacja. Ja tak trochę gdzieś z dołu nieraz celowo niby z "tetyki" z dołu strzelam, żeby go sprowokować na dół, żeby się wychylił, a tu miałem przygotowaną broń, żeby ewentualnie pociągnąć po nim. No, ale to nic. Podobnie robił on, bo tam też jakieś... I w takim właśnie momencie szczęśliwie widzę przez... Naprzeciw tego pieca było duże okno, ale budownictwo było takie, że to okno było tak nisko, że wysoki chłop, jak przechylił sobie nogę i ten... jak było okno otwarte, to mógł wejść przez okno do pokoju. No i okazuje się, właśnie "Głaz" nadchodził, więc ja na wszelki wypadek krzyknęłam: "»Głaz«, uważaj!". Bo my poznawaliśmy się już po sposobie... sam głos, jaki był głos, ja mówię, "Głaz", tam, tego... ale w dźwięku głosu było ostrzeżenie i niebezpieczeństwo, on to wszystko szybko wyczuł, ale zdaje mi się, potem mi powiedział, że równocześnie z moim okrzykiem on już widział, co się dzieje, przez to okno w tym pokoju. I on... Jaki sprytny, to właśnie dowodzi doświadczenia partyzanckiego, Nie pokazuje się i nie bronił mnie czy coś z tej strony, z której szedł, tylko zniknął, a on się podczołgał pod oknem na drugą stronę okna, tam, gdzie miał widok na niego, bo był po mojej stronie, i dopiero jak był z tamtej strony, tam jakieś jednym okiem rozeznanie zrobił pociągnął po nim i w ten sposób go tam zlikwidował. Więc o się okazuje, że takie momenty niby śmieszne, ale w rezultacie bardzo niebezpieczny, i wzajemnie można sobie bardzo dużo pomóc. Potem, jak żeśmy byliśmy w Ratoszynie...

Maciej Żuczkowski: W Ratoszynie była sytuacja, kiedy byliście zaskoczeni przez...

Konrad Strycharczyk: Tak, ale jeszcze zanim byliśmy zaskoczeni, to jeszcze żeśmy się rozluźnili trochę, niektórzy się położyli, tak jak na przykład ja i "Kret", taki jeden z moich amunicyjnych, to położyliśmy się

w stodole na sianie, ale RKM pod głową miałem. Broń z sobą, tylko porozpinane, żeby trochę odpocząć. I okazuje się, że właśnie w tym Ratoszynie jeszcze był nasz samochód, którymś przyjechali. I tam właśnie nas zaskoczyli dranie, ale jak znowu mądrze wybrał dowódca akurat Ratoszyn. Czemu akurat Ratoszyn? Dlatego że tam z jednej strony są takie bagniska że jak nieraz krowa... to wessała ją tak jak Żabę. Nie ma krowy. I na te bagniska akurat kierowały się tankietki rosyjskie. Więc z jednej strony były te bagniska, z drugiej strony był las, ale do lasu było ze 400 metrów. I dopiero z trzeciej strony mogli dostać się do nas, ale oni akurat odjechali od strony tych bagnisk. I jak się przekonali, że tam wpadają, że jest ten... to dopiero wtedy przerzucili się na tę trzecią stronę, gdzie mogli do nas by byli dojść. No i wtedy "Zapora" krzyknął: "»Słowik«, ostrzeliwujesz z lewej flanki!, A my na las wszyscy. A potem my będziemy ciebie ostrzeliwać a potem ogniem raził, jak my mieliśmy wracać powrotem. No i tutaj wziąłem... nie było jak, bo z tej strony, co oni byli, trzeba było dać ogień, ale trochę na podwyższeniu. A tam była duża sterta tego... jak to się tam nazywa, nie gnojowisko, tylko takie...

Maciej Żuczkowski: Kompost taki.

Konrad Strycharczyk: Kompost taki, tak. Więc ja szybko, żeśmy z chłopcami, z amunicyjnymi, położyli jeden, to się zaraz zamoczył ten snopek, to drugi, I na trzecim snopku położyłem. i jak począłem grzać, to aż się lufa zagrzała, oni nie mogli zdążyć ,amunicyjni, ładować. Ale równocześnie w tym czasie cała wiara idzie na las. I tu, strzelając, zirytowany byłem równocześnie widokiem w "Zapory", który najnormalniej pod słońcem, kiedy oni mieli możliwość go tak ściągnąć, to on stał i pokazywał: tam, na las, na las, To nie trwało oczywiście dwie godziny, to trwało chwilę, ale przez ten moment można go było... i wreszcie tam nasi zaczęli krzyczeć: "Wodzu, padnij!". No to on wreszcie oprzytomniał czy co i też podczołgał się, żeby na ten las iść. Ale my z kolei, jak żeśmy dostali sygnał, że już możemy wracać, bo oni dali ogień zaporowy, żeby oni nie mieli możliwości do nas dojść, to myśmy musieli przez kartofliska, ale nie wzdłuż, nie wzdłuż tych dołów, tylko w poprzek. Nie wyobrażacie sobie, co za przykre jest przechodzenie w kartofliskach, kiedy już one zaczynają dość wysoko rosnać, i przeskakiwać po tych... Normalnie to by była ciężka sprawa, ale tu z bronią i z szykowaniem się obronnym, bo nie można sobie biec, biec, biec, tylko można dwa, trzy kroki, dwa, trzy takie doły minąć i natychmiast upaść, i błyskawicznie albo w lewo, albo w prawo się przesunąć, bo w to miejsce, gdzie się pada, jak już się tam biegło, to ten gdzieś tam jakiś Ruski brał namiar. Jak się padło, to on w tamto miejsce walił. to trzeba było szybko właśnie odskoczyć w lewo albo w prawo. No i tak robiliśmy, ale w pewnym momencie, przy którymś takim doskoku, więcej niż połowa drogi już blisko jest do tego lasu, w pewnym momencie ja, okazuje się, dostałem kolbę, z kolby zrobił się pędzel prawie od pocisku i mnie tutaj, powyżej palca dużego, blisko przegubu, postrzałow

rana. Ale na wylot, całe szczęście, nie został tam pocisk. I ja tego nawet w tych nerwach nie zwróciłem na to uwagi, dopiero jak mi się zrobiło bardzo ciepło w rękach, mówię, czemu to... patrzę, a tu jest krew. I zasadniczo miałem wyszkolenie sanitarne, ale jak się krew u siebie zobaczy, to jakoś takie dziwne uczucie. U innych to można było robić opatrunek, kiedy były różne takie przykre sytuacje, że trzeba było to robić w polu. Wtedy przekonałem się, że rękaw u koszuli to ma bardzo duże znaczenie, bo taki rękaw jak się wyszarpało, to tego automatycznie można było użyć jako zacieśnienia, jako bandaża. No więc już trochę byłem taki speszony, znowu upadłem i zauważył to jeden z moich amunicyjnych, mówi: "To oddaj mi broń". Więc ja mu dałem i zostałem tylko z krótką bronią, i patrzę do tyłu, a tam jest cała grupa. I co się okazuje, już dobiegali do nas Rosjanie. Ale nas uważali, że to są ich ludzie, tylko że przed nimi akurat. I na razie jeszcze nie zdążyli się zorientować, że to my jesteśmy partyzanci. Więc ja to zobaczyłem i krzyczę do "Głaza", był "Głaz" ze mną, amunicyjny, myśmy to nazywali "Mineciarz", "Rzuć mu tam więzankę". A "Głaz" tylko tak delikatnie machnął i patrzymy, a tam medale za odwagę, za Stalina tak błyszcząły, bo to słońce jeszcze wstawało tak ładnie tam. I tak ładnie one pobłyskiwały. I wtedy już nasi dali dobrego ognia na nich, a myśmy wbiegli do lasu. A oni... bo błyskawicznie już trochę się speszili i wszyscy padli, i czekali na jakiś rozkaz czy coś, bo do lasu to już nie tak chętnie się jakikolwiek nieprzyjaciel z partyzantem chce spotkać. I teraz znowu ciekawa sprawa z dowództwem. "Zapora" zebrał wszystkich, pyta się, czy są wszyscy tam, tak, a mówią, że "Słowik" to... "No to zawiń mu tam, pomóżcie mu i słuchajcie, idziemy w tę stronę". I ja patrzę, a tam idziemy w kierunku drogi, którą przyjechali Rosjanie, tylko że oni wszyscy byli już w akcji, tam gdzie... a on prowadzi nas przez tę drogę na drugą stronę i nie w kierunku przeciwnym, żeby uciekać dalej, tylko właśnie w kierunku ich, tylko górą, tam gdzie oni byli, skąd oni przyjechali górą, jakieś 500-600 metrów od drogi, bo to taka była polna droga, ale już lekko ubita. I normalnie wtedy, w tamtym czasie, robiono takie... albo sadzono tarninę czy jakieś inne... żeby drogi nie zasypywały zaspy śnieżne, albo robiono płotki regularnie. Więc w tamtym terenie, gdzie myśmy byli, była taka i tarnina, i głóg, i to wszystko razem, tak że przez to przejść, to... I faktycznie to służyło w zimie jako osłona od... bo jak wiatr był z tamtej strony, to zasypywał drogę, a to broniło. I za tą tarniną myśmy się wszyscy rozłożyli tyralierą, i tam żeśmy patrzyli, jak oni... bo już posiłki przyszły, jechały też do nich, i myśmy stamtąd patrzyli, a oni tam biegli gdzieś daleko, żeby nas szukać, gdzie my tam żeśmy uciekli w tamtą stronę, a tu bardzo mądrze, właśnie w ich kierunku nas stary wziął. Tak się mówi, stary, chociaż on niewiele ode mnie był starszy. No więc tak wyglądały te sytuacje, no i oczywiście w tej sytuacji. tam żeśmy ten samochód stracili, Nie wiem, czy go któryś z naszych podpalił czy tam już sami oni... w każdym razie już zostaliśmy bez samochodów.

Maciej Żuczkowski: Czyli finalnie sprawa spod Ratoszyna się zakończyła pomyślnie?

Konrad Strycharczyk: Tak.

Maciej Żuczkowski: Bo nie było żadnych strat tutaj?

Konrad Strycharczyk: Nie było, tylko... bo nie tylko ja, ale jeszcze dwóch było rannych.

Maciej Żuczkowski: A wspomina tutaj pan w jednym fragmencie w swoich krótkich wspomnieniach sylwetkę "Misia", który nosił ze sobą, zdarzało mu się nosić, rusznicę przeciwpancerną rosyjską.

Konrad Strycharczyk: Tak, to był "Miś".

Maciej Żuczkowski: I ona była w użyciu w oddziale, ta rusznica?

Konrad Strycharczyk: Tak, tak. I tak jak nieraz żeśmy... Tak jak mówiłem, że żałowałem, że jakiejś innej broni nie wybrałem, ale to wcale nie bardzo żałowałem, tylko wtedy, jak żeśmy mieli te odskoki, to ciężko było. Ale wtedy, jak żeśmy szli, ja z RKM-em, to jak popatrzyłem na "Misia", jak on wziął za lufę, a ona była dwa razy prawie dłuższa niż mój ten RKM, i grubsza, rzecz jasna, bo tam były pociski na ten... to za lufę i na ramię, i szedł twardo, tak jak na spacer. Jeszcze miał przy sobie też doładowanie. Bo ja zawsze nosiłem ze sobą cukier, w miarę możliwości zabezpieczałem się w cukier, dlatego że jak gospodarczy postarał się, kupił od gospodarza tam prosiaka czy coś, czy cielęcinę, zależy, w jakim okresie, żeby potem zabić i ugotować coś dla nas... a w takim lecie, kiedy już jest 28-30 stopni, a on przecież nie będzie się tam bawił w jakieś wyszukane... tylko po prostu w plastry czy coś tego prosiaka pokroił i dostałeś takie dwa kartofle, bo tam były piękne, duże, ładne kartofle, dwa takie kartofle z sosu i taki kawał tłustego, przerastającego mięsa ze słoniną, to... No a tu 30 stopni, prawie gorąco, no jak to jeść w takich okolicznościach? Ja zawsze wtedy poprosiłem: "Gospodiu, macie jajków?" - "Ło, chłopowku, momy. Stary, idźże tam, idźże do kurnika, przynieś świeżutkich jajków dla chłopocka". A stary, już tam, tego... "A, stary, i zamknij psa, bo niech nie brecho, niech nie brecho, bo będzie słychać, że tu nie nasi, sołtys". No i on przyniósł to, ja mówię, o, to dobrze, to... "A śmietany żdziebełeczko macie?" - "Tak, chłopocku. Stary, chodźże do studni i przynieś tam tą kanę". No bo oni w studni mieli lodówkę i tak nalewali to, i tam ta śmietana tak podchodziła na 6-7 centymetrów. A ona tam ze dwie, trzy łychy takie do mojego gorska, takiego gnioska od niej dostałem, no i ja sobie to wymieszałem, pierwsze tam utarłem, a potem dopiero wlałem tę śmietanę i to było dużo lepsze jedzenie aniżeli ten... A chętnych kolegów nie brakowało, którzy mówili: "Co, nie jesz? No to dawaj". Apetyt na to ten miała, a ten na to.

Maciej Żuczkowski: A pamięta pan, jak wyglądał na przykład taki pobyt na kwaterach? Po akcjach na przykład gdzieś. Bo z reguły to kwaterowaliście gdzieś po wioskach, prawda?

Konrad Strycharczyk: Tak, ale to bardzo różnorakie były, bo były gospodarstwa, które nastawione były na to, żeby przyjąć, bo byliśmy z nimi w bliskim kontakcie, i tam dowódca, "Zapora", jak miał... bo były tam jakieś takie żołdy czy coś, jeden brał, drugi nie, to on takim gospodarzom tam podrzucił jakieś, ten... To oni już mieli w pewnym sensie, jak gdyby takie poczucie obowiązku, jak my przyjdziemy, żeby nam coś... Ale było tak, że przychodzimy, a gospośia mówi, zażenowana taka, tak jej było przykro: "Chłopocki, no nie mom, no nie mom nic, ino kartofle i mlika zdziebełeczko". A my mówimy: "No to co trzeba lepiej? No to kartofle polać tym mlekiem i"... "I może być?" - "No może być. Jak nie macie co innego"... Aby tam trochę, zdziebełeczko, a może gdzie indziej to dostaniemy coś więcej. To ona od razu powiedziała, gdzie można by było pójść, ale myśmy i tak wiedzieli. Tak że różnie bywało, i to jeszcze ci gospodarze byli zażenowani, jak nie mogli nas tak dobrze przyjąć. I tu właśnie trzeba sobie zdać sprawę z tego, że gdyby nie było zaplecza życzliwego wśród ludności, a właśnie wśród gospodarzy, i na ogół nie za bogatych, tylko właśnie tej biedoty, czym biedniejszy, tym był bardziej życzliwy, to było bardzo dziwne, ale taka była prawda, gdyby nie było tego zaplecza, a to zaplecze nam uciekało spod nóg za okupacji rosyjskiej, bo za niemieckiej to było wiadomo, że kto nie mówi po niemiecku, to jest nieprzyjacielem, a tutaj nie wiadomo, co się w tej rodzinie stało, czy jakiś kuzyn, czy siostra, czy ktoś tam, nie ma chłopaka, który akurat jest w UB czy też inne... i można się wsypać.

Maciej Żuczkowski: A były takie miejscowości, które niechętnie przyjmowały?

Konrad Strycharczyk: Ano tak, to było to... Nie tylko nie przyjmowali, ale to omijaliśmy jak zarazę. To Moniaki to były, taka rosyjska, prawie prorosyjska, siedziba tych ludzi, ja nie wiem. No i tam mieliśmy takie wioski, któreśmy wiedzieli, stary już to miał na mapie u siebie odpowiednio ustalone, gdzie, co, jak można byłoby... No i potem za Niemców tośmy chodzili po osiemdziesiąt, sto osób, były tabory tam gospodarcze, amunicyjne, sanitarne, a teraz, dla ruskich, to po dwudziestu pięciu, potem piętnastu, wreszcie już dziesięciu no i tam wreszcie przy kolejnym ujawnianiu, które to ujawniania to były właściwie tylko przewidziane przez UB i NKWD, żeby nas wyciągnąć tylko z lasu, wydobyć nas, i potem, jak już się człowiek ujawnił, to okazało się, że koniecznie, na wszystkie sposoby, nawet torturami, chcieli zdobyć wiadomości, gdzie są magazyny broni, gdzie się przeważnie jeździło na kwaterę i tak dalej, i jacy dowódcy są, gdzie, w jakim terenie. Oczywiście niechętnie to wszystko nasi mówili, w ogóle nie mówili, no więc automatycznie byli katowani albo wywożeni na Sybir. I to powodowało, że w krótkim czasie wiara wracała z powrotem do partyzantki, bo nie wiedział, kiedy może stracić życie, bo niby przez przypadek, ale jakiś samochód go potrącił i zabił. A ten samochód, okazuje się, prawdopodobnie już odpowiednio za nim jeździł i szukał tylko miejsca, żeby można było wykorzystać, żeby mu dołożyć.

Maciej Żuczkowski: A jeśli chodzi o samo ujawnienie się, to rozmawiał pan w tej sprawie z komendantem, prawda?

Konrad Strycharczyk: Nie, to jeżeli chodzi o ujawnienie, to rozmawialiśmy, ale komendant nie wpływał na to, żeby odradzać, żeby się... "Rób, jak uważasz, jak ci w sumienie mówi, jak uważasz, że będzie lepiej. Bierz pod uwagę tylko"... Bo przy pierwszym to było tak normalnie, a przy drugim, trzecim, to: "Bierz pod uwagę, co było z tymi, co się poprzednio ujawnili". No i więcej nie potrzebował mówić, bo po co. Myśmy wszystko wiedzieli, kogo, którego chłopaka wykończono, gdzie, w jaki sposób i tak dalej. A jeżeli idzie... Tu chyba pan zmierza do tego, żeby zapytać, jak ja wyszedłem, czy się ujawniłem. No więc to było tak... Ale zdaje mi się, że ja to już mówiłem panu, czy nie, jeszcze nie? Aha, to w innym wywiadzie mówiłem. Mianowicie, "Zapora" już miał tak bardzo gorąco pod nogami, było nas już tylko dziesięciu, a nawet dziewięciu chwilami, i był też tam "Morwa", i Malinowski też był, i okazuje się, dowódca mówi, że tu już tak się robi, że musimy się udać za San, żeby za sobą trochę tutaj się uspokoiło, a my gdzie indziej trochę może zadziałamy, ale nie chodzi o działania, tylko żebyśmy się trochę ukryli na jakiś okres, zanim się wróci, a działanie samo się okaże, bo sytuacje wytworzą to. No i mówi: "Słowik, ty jesteś chłopak rozgarnięty, że nie powiem, inteligentny. Jak się ujawnisz, to może jakoś przeżyjesz, trzeba będzie opuścić oddział. Bo my, żebyśmy się ujawnili trzydzieści razy, to i tak w czapę, i tak w czapę". Jak on skończył z tą czapą, to ja mówię: "No to ja z wami" - "Co?" - trochę się oburzył "Zapora" i mówi - "Taka z tobą rozmowa? To niedobrze. To wobec tego, słuchaj dobrze, dostajesz rozkaz. Cztery dni jeszcze jesteś z nami, póki jesteśmy na tym terenie. Jak będziemy szli na inny, żeby się tu zgubić, ty masz opuścić oddział. Pomyśl, gdzie i jak chciałbyś się tam urządzić, a ja ci dam namiary w różnych krańcach Polski, gdzie się znajdziesz, gdzie mógłbyś, do kogo się udać, ażeby ci pomógł, powołując się na mnie. Ale nic nie możesz notować, tylko wszystko w pamięci. Ja mówię, to to ja znam, dlatego że byłem tam u ojca Jana, właśnie też takie miałem polecenia, że tylko na pamięć, i pewne rzeczy przekazywałem. On mówi: "No widzisz. I spróbuj przeżyć, może przeżyjesz. No jesteśmy w ogóle wszyscy w bardzo przykłej sytuacji". No i faktycznie, po czterech dniach musiałem jechać, więc pojechałem do Olsztyna. Dlaczego do Olsztyna? Dlatego że w międzyczasie dowiedziałem się, że w Olsztynie jest nasza wiara znajomych. Jest Cmela Bronisław, nasz były opiekun harcerskiej drużyny, która była w Rudniku przez nas zorganizowana, a z nim razem poszedł "Sęp" i jeszcze tam dwóch partyzantów z Rzeszowskiego...

Maciej Żuczkowski: "Krupa" i "Baran".

Konrad Strycharczyk: Słucham?

Maciej Żuczkowski: "Krupa" i "Baran", tak?

Konrad Strycharczyk: Tak. I oni osadzili się tam, w Olsztynie, dlatego, że były właściwe warunki, jakie? Jakie warunki? Ano był wojewodą generał Rummel, nasz generał, który walczył i z Niemcami, i z Ruskimi. Ale okazuje się, w jakiś sposób na początku jakoś tak wyznaczony został jako wojewoda. Więc oni byli osadzeni bardzo dobrze, bo Cmela był naczelnikiem aprowizacji całego województwa, "Sęp" miał transport, a tamten tam jakiś znowu inny - dział gospodarczy. I to pozwoliło odpowiednio działać i ratować naszych, których tam ewentualnie UB chciało...

Maciej Żuczkowski: A, panie Konradzie, kiedy dokładnie pan odszedł z oddziału i wyjechał do Olsztyna?

Konrad Strycharczyk: W ostatnich dniach września. I tam, w tym Olsztynie, okazuje się, Cmela, od razu, naczelnik aprowizacji, i dał mi funkcję: będziesz pełnomocnikiem do spraw zaopatrzenia w żywność naszego województwa. No i ja wtedy dostałem skierowanie do Społem, tam było wojewódzkie Społem, i to Społem dostarczało żywność, która rozprawdzana była, ta żywność, na całe województwo, ale przywożona była do Olsztyna i tam dopiero rozdzielano. A jaka żywność? Po prostu dostałem pięć tych chevroletów i kilka fordów, tych właśnie, które dostawali Rosjanie od...

Maciej Żuczkowski: Od Amerykanów.

Konrad Strycharczyk: Tak, od Amerykanów. To były ładne wozy, nawet bardzo wygodne i fajne. Z tym tylko że jeżeli o mnie idzie, miałem kłopot, bo nie można było, tak jak to się dzisiaj dzieje, wyciąga się ten... wypisuje się czek na taką czy inną kwotę i... To by mnie wyśmiali, to by po prostu... "Panie, daj pan spokój, uciekaj pan stąd". Albo gotowa, albo... Więc żeby brać taką gotówkę, to ja tu mam, mógłbym teraz poszukać, czasu trochę mało, ale mam tutaj jeszcze, przechowuję tak długo, kwity na 900 tysięcy, na 700 tysięcy polskich złotych w gotówce, w pieniądzu. I to kładłem do worka jutowego, takiego zmęczzonego, takie grube te worki, takie włochate, tam siano było, i w to siano. I ten worek kładłem sobie pod nogi właśnie w tym studebakerze. A kierowcą obok mnie był Tadeusz. Nie pamiętam nazwiska, ale na imię Tadeusz.

N0763_kr_FINAL_5_5_1

Konrad Strycharczyk: I tam było o tym Studebakerze, tak, że jechałem z Tadeuszem, który, dogadaliśmy się, bo miałem siedmiu kierowców, bo było siedem pojazdów. Bo wtedy albo transportem kolejowym, to wtedy by trzeba było przy każdym wagonie, i taki też przywoziłem, ale tym razem mówię o tym transporcie samochodowym. To w kolejowym, to w każdym wagonie musiał być z bronią jakiś strażnik,

"Sokus", jak się to tam nazywało wtedy, czy jak tam z tej obrony porządkowej kolei. I to też nie było pewne, bo nie wiadomo, kto jest kto, dostane siedmiu, ale jednak trzeba było też, bo były większe transporty, to jednak pociągami. A tutaj jechałem ten... Jeżeli braliśmy z różnych stron różne towary żywnościowe, ponieważ tam Olsztyn był zupełnie zdeorganizowany i do tego stopnia, że były ogłoszenia w Polsce, całej Polsce, że kto chce zebrać zboże i ma jakieś możliwości, żeby skosić zboże, jakoś jego sprawa, jak on to... niech przyjeżdża, zboże jest już dojrzałe całkowicie, można tylko ścinać i zabierać dla siebie, ile chce, żeby tylko ratować, żeby to nie zginęło, nie zniszczyło się i tak dalej. No więc myśmy brali to przeważnie, zabieraliśmy towary z UNRRA, które przychodziły do Gdyni, do Gdańska i stamtąd pobierałem to. Ładowaliśmy na te samochody i przewozili na miejsce. Ale były także wyjazdy takie, że potrzebne były skóry do zelówek, żeby można było dla rzemieślników, jakieś od [niezrozumiałe, 00:02:29] znowu jakieś tam, trochę naczyń, bo to... jakieś różne inne towary z kraju. I jak było trzeba przejeżdżać koło Warszawy, przez Warszawę, to w Warszawie miałem taki z nimi, z tymi kierowcami, ubaw w pewnym sensie, nie zdając sobie z tego sprawy, że to są kierowcy, to zawsze cwaniacy. I oni jak przejeżdżali przez Warszawę, to tam mówią: "No ale to jechaliśmy tyle, no przecież trzeba coś jeść, komendancie, no... Musimy pójść wszyscy gdzieś coś zjeść i tak dalej i zapraszamy pana też". Ja mówię: "Nie, ja tu mam kogoś". "O, ma pan tu kogoś, do kogo pan pójdzie, to pan sobie tam i"... Ja mówię: "Ale to nie można, będzie dłużej jak godzinę, półtorej". "No półtorej godziny to wystarczy, to zjemy obiad i przyjedziemy. To z powrotem w tym miejscu". A tymczasem okazuje się, oni wcale nie na obiad. Oni pojechali nad Wisłę i tam "na Pragę, na Pragę, na Pragę" byli tacy. On tam dostał parę złotych, krzyknął i pokazał tylko, na który samochód trzeba wsiadać. I już wszyscy wsiadali, a kierowcy tylko do teczki wrzucali pieniądze. I on jechał na drugą stronę i tam znowu z tamtej strony, dawaj... I on przewoził z powrotem. I takich kursów zrobił, nie wiem, ile. No w każdym razie, potem jak przyjechali z powrotem, ja mówię: "No to teraz jak już najedzeni, wypoczęci trochę, to ruszamy zaraz". A on mówi: "Panie kierowniku, ale za chwileczkę, jeszcze momencik". "Gdzie pan ma swoją teczkę?". Ja mówię: "A co cię moja teczka interesuje?". "No chcemy prosić, bo tam chcemy panu coś włożyć". Tak stoją jakby w ogonku. Ja mówię: "Ale co będziecie mi wkładać?". "No niech pan da tę teczkę.", jeden wziął mi ją. A tam jakieś papiery, to on wyciągnął, "Pan potrzyma te papiery". I on rozchylił tę teczkę, a każdy po kolei przyszedł ze swoją teczką, czy czymś tam i garściami nakładł, nakładł. Tamten, znowu ten... Ja mówię: "Co wy robicie? O co tu chodzi?". "Ach, bo tam żeśmy pomogli ludziom żyć i przejeżdżać przez Warszawę trochę, nam dali parę złotych, a komendantowi się też należy przecież". Ja mówię: "Dajcie spokój". Ale w końcu się zgodziłem, no bo co miałem robić. Więc takie mieliśmy sytuacje w tym okresie zaopatrzeniowym. I było wszystko dobrze prawie rok. Tyle tych pieniędzy, zaufywali mi, dawali. Ja to

wszystko rozliczałem dokładnie i jeden raz miałem przypadek przykry. W Gdyni, jest tam taki skwer, Skwer Kościuszki, zdaje mi się, się nazywa. I tam są baseny takie. Tam wpływają jednostki, tam mają spokój od tych fal i tak dalej. I w takim basenie kajakiem płynął jakiś człowiek, chłopak. Okazało się potem, no młody, 20 lat, to młody. I w pewnym momencie, głupi, bo jak jest wpływ od strony morza, to fala jest bokiem, przejdzie, to on zamiast ciągle pilnować się, żeby być pod falą, tak jak się ma płynąć kajakiem, to on chciał tą przepłynąć na drugą stronę, a tutaj z boku ta fala z morza przez ten otwór do tego basenu. Raz tylko gibnęła, drugi raz i już go wywróciło. No i on krzyczy "Ratunku!". Ale sam ambitny chłopak, bo jak kajak miał pełny, to on się zupełnie napełniał i ten kajak coraz bardziej się... z tyłu była woda, to mu stanął storcem, to on tutaj przy dziobie oparł się, bo dobrze pływał i tutaj na ramię go sobie wspierał, żeby ten kajak ratować. I ja to widząc z daleka, a leżałem sobie trochę do słońca, wreszcie chciałem się trochę opalić, ale miałem tę swoją tekę, taką ładną, zapinaną, pod głową i na niej ręcznik. I widzę jakieś dwie kobiety: "Może panie spojrzą tutaj na moje te ciuchy, a ja pomogę mu trochę". "No trzeba, trzeba, proszę pana.", no to tak. I ja poleciałem i skoczyłem z góry, bo to jest dość wysoko, są te... skoczyłem z góry do bączka, a bączek to jest taka łódź, nie wiem, czy się znacie trochę na tym, że ona nie zatoni, bo bardzo wysokie ma brzygi i prawie że okrągła jak beczka, ale nie jest, tylko ma dziób, ma tył, i ten bączek jest mało wywrotny, trudno wywrotny. I tym bączkiem pruję do niego, dopłynąłem, no i on, ja mówię: "Daj rękę, wsiadaj". On mówi: "Ja sam bym wsiadł, tylko tu trzeba kajak wziąć". Ja mówię: "Jak chcesz kajak wziąć?". - "No jest linka przy nim". - "No a masz tę linkę?". "No właśnie nie mogę się do niej dostać". I tak jakoś we dwóch, on trzymając ten kajak, żeby całkiem nie zatonął, ja poczułem, że znalazłem tę linkę. Linka miała zaledwie ze dwa i pół, może trzy i pół metra. No to on wlaźł, ja tę linkę trzymam, wlaźł, ją za linkę i mówi: "To teraz płyniemy". Ja mówię: "Ładnie my płyniemy. Jak ja będę wiosłował, a z tyłu ty siedzisz, przecież nie możesz wiosłować, bo trzymasz kajak nie pusty, który sobie płynie, tylko pełny wody i trzeba się z tym dobrze pomocować". On mówi: "No to pan przytrzyma linkę, ja będę tego...". I tak mnie to wszystko wkurzyło, że mówię: "Wiesz co, puść tę linkę, warto jest [niezrozumiałe, 00:09:05] uratuje życie. A kajak... Pies z nim tańczył". A on mówi: "No tyle się przy nim napracowałem". Ja mówię: "Puszczaj linkę!". No i wtedy uratowałem go, bo przyszła mi wewnętrznie świadomość, że tam mam pieniądze w tej torbie. I tam miałem 410 tysięcy, to nie była bagatela, to był jakiś pieniądz. No i okazuje się, przyjeżdżam, ale nie ma teczki, jest koszula, jest bluza taka, była ładna zresztą. Ale ty to... "Proszę pani, przecież tu pani...". "Co, a o co chodzi?". - "No pani była...". - "Nie". "Tu były takie starsze panie dwie, ale ich nie ma". No i tam okazuje się, zgłosiłem szybko zaraz na milicję. Milicja zrobiła protokół, dała mi protokół, że było takie... tu uratowałem, a tu straciłem. I proszę sobie wyobrazić, że... a ja zawsze rozliczałem się co do grosza. Jak rozliczałem, powiedziałem, że tamte 400

proszę rozłożyć to na jakieś bardzo takie raty, żebym ja dał radę z pensji, chociaż połowę sobie zostawić, a tu dla was zwracać. Moja wina, chciałem ratować ludzi, a tymczasem okazuje się, to mnie zrobiono na szaro, wobec tego ja to będę spłacał. A oni zrobili odprawę, no możliwe, że tam Cmela z góry na nich wpłynął też trochę, że w związku z tym, że zachowywał się dotychczas bardzo uczciwie i dokładnie rozliczał, jest protokół milicyjny, że faktycznie był tam, żeby ratować, że wiadomo było kogo, w jaki sposób, wszystko opisane, to oni to na straty spisali. A spisywano wtedy dużo rzeczy na straty, bo to różne bywały okoliczności. Tak że to nie było dla nich nic wielkiego, bo oni większe nawet kwoty tam ten... I w ten sposób miałem satysfakcję, że jednak zaczynam być przydatny w tym kraju, że tak jak to Szare Szeregi miały w założeniu w swoim harcerstwie, jest pierwsze: walka, nauka i praca nad odbudową kraju, przy odbudowie kraju. No i dobrze by to wszystko wyglądało, tylko że któregoś dnia wracam z takiej podróży, a w moim mieszkaniu jest kot.

Maciej Żuczkowski: Jaki to był czas? Jaki to był rok?

Konrad Strycharczyk: To był już koniec 1945 roku, czy 1946, zaraz... 45 czy 46... 1946, bo już prawie rok pracowałem, a w 1945 we wrześniu odszedłem z lasu.

Maciej Żuczkowski: Czyli jesień 1946?

Konrad Strycharczyk: Słucham?

Maciej Żuczkowski: Jesień 1946 roku?

Konrad Strycharczyk: Jesień 46.

Maciej Żuczkowski: Gdzie pan wtedy mieszkał?

Konrad Strycharczyk: Słucham?

Maciej Żuczkowski: Na jakiej ulicy pan wtedy mieszkał?

Konrad Strycharczyk: Na Wyzwolenia 27, to będę pamiętał, bo potem, jak się tak złożyło, że na mocy amnestii w lutym 1947 roku wyszedłem, no to do swojego mieszkania, prawda. Pierwsza rzecz. Otwiera mi jakiś facet, ja patrzę, w moim garniturze. A on do mnie: "Co tu chciałeś, człowieku dobry?". Ja mówię: "No jestem amnestionowany i przyszedłem do swojego mieszkania". "Jakie mieszkanie? Zapomnij, że miałeś mieszkanie. Chyba, że chcesz jeszcze gdzie indziej pomieszkać dalej". I takim, i tam takie... Ja

wszystko rozumiałem, że to jest jeden z tych, co mnie lali. I pomyślałem sobie: "no pies z wami tańczył".

Maciej Żuczkowski: Czyli jesienią...

Konrad Strycharczyk: Nie. I on powiedział: "Jeżeli się odważysz jeszcze raz tutaj przyjść albo powiedzieć komuś, że miałeś jakieś mieszkanie, no to wiesz, co z tobą będzie". Ja mówię: "Wiem". "Dziękuję bardzo. Cześć". I to wszystko, co miałem w dwóch pokojach, a, bo dostałem od Społem mieszkanie właśnie. I to było na takim piętterku. No i potem właśnie z tego Olsztyna, a ja przy amnestii dostałem... w amnestyjnej karcie zapisane było, że dostaję parę butów, bo butów już nie miałem, bo mi się tam zniszczyły w więzieniu buty. I dostałem jakąś kurtkę, czapkę i 300 złotych. Pokwitowałem to wszystko. Aha, i bilet kolejowy. To mówi: "Dokąd bilet kolejowy? Dokąd chcesz bilet?". Ja szybko trochę te rzeczy znałem tam już z tej pracy swojej, co teraz miałem. I koleje, i tradycje na kolei, a wtedy była taka tradycja, takie zarządzenie, że jak pan kupił bilet, założymy z Olsztyna do Rzeszowa, jest to trasa, to wolno było dwa razy zrobić przerwę i szło się tylko do dyżurnego ruchu, i on napisał "w dniu takim, o godzinie tej rozpoczęła się przerwa". Pierwsza albo pisał, że druga. I w ten sposób ja wziąłem najdalej jak można było, w drugi koniec Polski. Bo nie wiedziałem, gdzie będę wykorzystywał wtedy. A okazuje się, że nie w tamtą stronę, tylko na Olsztyn... pojechałem potem na Gdańsk, gdzie była rodzina. No i tak się to zaczęło dalej, nowe życie.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, ale wróćmy do jesieni 1946 roku, bo wspomniał pan o kipiszu, który zorganizowało UB na pana mieszkaniu.

Konrad Strycharczyk: Kto?

Maciej Żuczkowski: UB zrobiło u pana kipisz na mieszkaniu, prawda?

Konrad Strycharczyk: Nie kipisz, tylko to był kociół.

Maciej Żuczkowski: Kociół, znaczy. Przepraszam, kociół.

Konrad Strycharczyk: Kipisz to jest tam zabieranie czegoś i tak dalej, odbieranie czy bicie. A to był kociół i kto wszedł do tego mieszkania, to momentalnie szedł do UB.

Maciej Żuczkowski: I ile osób tam wpadło wtedy?

Konrad Strycharczyk: A tego nie wiemy, tylko jak ja wszedłem, to od razu "ręce do góry", broń. "Pokaż, masz broń?". Nie miałem. Trochę speszony byłem bardzo, bo już tak fajnie się zaczęło, już zacząłem normalnie żyć. I sobie pomyślałem: "No tak, to jednak się zorientowali, kto jestem". A zdawało się, że to na Ziemiach Obiecanych, to skąd oni będą wiedzieli, a tam UB dobrze pracowało, potem bardzo dobrze, mając wiadomości od naszych, tutaj z Lublina, z naszych stron i tak dalej.

Maciej Żuczkowski: I został pan aresztowany, i gdzie pan trafił wtedy?

Konrad Strycharczyk: No więc stamtąd, ale to aresztowany to jeszcze nie wszystko. Ja jestem wystarczająco tak sprytnym chłopakiem, żebym się tak dał. Więc tam ich było dwóch. Ja mam to opisywać?

Maciej Żuczkowski: Tak.

Konrad Strycharczyk: Tam ich było dwóch, jeden tam widocznie starszy, ważniejszy czy co, nie wiem, mówi: "No to wal teraz do komendanta i powiedz, że już jest, żeby przyjechali go zabrać". I on został sam. No więc ja mówię: "No co, będziesz mnie wiązał czy co?". "Nie, siadaj". Ja mówię: "To tu, żeby powietrza trochę...", było ciepło, okno otwarte szeroko. I to takie okno, że nie było w środku tego słupka, tylko jakoś tak się otwierało, że cała przestrzeń okna pusta, jak było otwarte. A ja miałem przy tym oknie, bo tam słońce było, tak padało, że jak siadałem coś do czytania, to mi na gazetę padało i to łatwiej się czytało. Miałem taki bardzo fajny fotel, aż prawie, że sprężynował tak fajnie. No ja mówię: "Żeby powietrza trochę, to tu usiądę". "Ale słuchaj, to my sobie w międzyczasie, zanim on przyjdzie, to sobie machniemy. Ja tu mam...". "Nie, na służbie to nie mogę". "No to ty nie musisz, to mnie możesz nalać. Tam, słuchaj, w tym kredensiku, otwórz tą... tak, tak, to". - "No, jest?". - "Trzy butelki są". - "Którą tam?". - "Pierwszą z brzega weź". "Jak nie chcesz, to ja się sam napiję, bo mnie cholera już bierze, zaczyna być niedobrze". A on mówi: "No na pewno, jak taki bandzior, to...". Ja mówię: "Bandzior?". No to dobra. Ale mówię: "No weź dla siebie też tę szklaneczkę, o co chodzi". To on wziął, nie przynosił do mnie, tylko tam nalał sobie trochę, no i przyszedł do mnie i przyniósł mi. Ja sobie to postawiłem na tym oknie i mówię: "Słuchaj, ale warto by coś przekąsić. To tam na dole jest całe pół kilograma sera szwajcarskiego, to sobie tu pochrupiemy trochę". A on mówi: "Nie, nie będę chrupał". "Ale ładny jest, ja z podróży przyjechałem prosto przecież". I ja mówię: "No to pierwszą machniemy, a potem tam poszukasz te...". No to ja, bo widziałem, jak niesie, no to już trochę kupiony, więc może tam weźmie tą. No i rzeczywiście tak się udało, że wypiliśmy. Ja machnąłem ze złości, to wypilem od razu. Prawie pół szklanki mi nalał i on wypił tam mniej trochę. Ja mówię: "No to daj, przekąsimy ten ser". Jak on podszedł, szedł, to ja już sobie

obliczyłem. Aha, teraz jeszcze nie powiedziałem, że to nie był parter, ale nie było też pierwsze piętro. Pierwsze piętro było od strony podwórza, bo to jest na takiej szkarpie obudowane, jak tam pan kiedyś będzie na Wyzwolenia 27, to pan zobaczy. Jest ta szkarpa i tu jest niżej, więc na podwórzu to było pierwsze piętro, a tu to było to pół pierwszego piętra, ale była inna przeszkoda. Niemcy tak budowali, że w piwnicy, jak okna mieli, to w stosunku do ściany piwnicy była cementowa taka osłona i tam woda miała odprowadzenie do kanału. I ja to sobie obliczam, że jak wyskoczę, ale nie mogę siadać czy coś, tylko muszę tam stawać w oknie, tylko muszę tak błyskawicznie, bo ja to już myślałem, z tą myślą kazałem mu ten ser szukać, bo on tam będzie, wystarczyłaby chwila, ja się tylko podeprę tu, machnę i za okno. Ale żeby nie spaść na ten cement. Więc żeby nie spaść na cement, to muszę porządnie się odbić. No i rzeczywiście, zgadza się z moją... opieka Matki Boskiej nade mną, to już nie ten pierwszy raz i nie piąty. On idzie i zaczyna otwierać tę szafkę, a ja wtedy... ile można było, rozchuśtałem się i podparłem jedną ręką, żeby jak najdalej się odsunąć i odbiłem się nią, ale wszystko jedno i spadłem na trawnik, a potem jest trawnik bardzo ładny i drzewka owocowe, nieduże nawet takie były. Ale wszystko jedno, na skraj tego jednym bokiem upadłem tutaj, blisko tej głowicy. Kto wtedy o bólu pamięta. Zerwałem się i biegiem, i znowu zaczyna myśl pracować. Czy jest otwarta furteczka, bo tam furteczka była taka, była siatka i w tej siatce... tak zrobiona furteczka, ale zakładana była kłódeczka przez któregoś z tych gospodarzy, co tam... ale nie zawsze, bo jak tam miał jakieś sprawy, to wyrzuca śmieci, czy coś z ogródka, to tam było otwarte. Jak nie będzie otwarte, cholera, to ja będę musiał przeskoczyć przez ten płotek, na którego brzegu jest drut kolczasty taki i to niedawno postawione, więc jest on ostry i świeży, mocny. Nie mam nic, żeby coś podłożyć na druty, żeby wtedy przejść. I myśląc o tym, zaczynam myśleć, a on puka z tetetki, puka do mnie. To ja sobie pomyślałem: "Ty możesz sobie popukać, nawet, jak mnie gdzie tam trafisz, to pies z tobą tańczy". I furtka jest uchylona, no ją pchnąłem, poleciałem. A tuż za furtką, jak pan tam będzie na Wyzwolenia, to pan zobaczy, że jest zaraz tor kolejowy i od tego miejsca do dworca jest więcej trochę niż kilometr albo i półtora. Więc jak jadą pociągi, a już szczególnie towarowe, to zwalniają, bo nie może jechać przez dworzec zbyt szybko, więc on już rozpoczyna zwolnioną tą... I patrzę, jak na zawołanie, jedzie pociąg, jedzie pociąg towarowy. I wyczuwam, że on już jak wjechał, to już trochę ma te, bo tam... a potem już wolniej, ma wolniejszy... to znaczy, że on zwalnia, dobrze. Dojechał do mnie, to już był troszkę wolniejszy, ale ja byłem za okupacji niemieckiej w straży pożarnej. Ja skakałem z dziewiątego piętra na tych dwóch sznurach, oni tam tylko rozciągali i różne inne. Potem drabinką, hakówką na trzecie piętro wchodziłem. Takie ćwiczenia żeśmy mieli. I między innymi jak jest straż pożarna zawołana, to wszyscy po słupie i do wozu, ale ktoś jest ostatni. Bo nie wszyscy, jeden drugiemu nie może na głowę skakać. Więc ktoś jest ostatni i ten ostatni to jak już dobiega, to już samochód jedzie.

Więc trzeba było się nauczyć, aby skoczyć tylko i położyć się na... bo samochody transportowe. W ogóle te straże pożarne, nie wiem, czy zwróciliście uwagę, mają, tak jak kiedyś w pociągach, był długi jeden taki próg i dopiero tych drzwi kilka było i się wchodziło. Były też takie wagony. To nas uczyli, w jaki sposób, jak ty będziesz ostatni, ale musisz zdążyć, bo ten kierowca nie będzie patrzył. On tylko wsiada i jedzie, a reszta wiara ma doskoczyć. To się tego uczyłem i tak właśnie wskoczyłem na taki próg tego wagonu, którym po schodkach się idzie, a tam na górze jest taka budka, taka budeczka i tam, no nie wiem, co tam robią ci kolejarze, ale można na drugą stronę przejść. Ja sobie przeszedłem na drugą stronę i wyskoczyłem, żeby nie być na dworcu, bo możliwe, że oni zaraz, spryciarze, obstawią dworzec czy coś. I wyskoczyłem jeszcze grubo przed dworcem, no i pobiegłem wtedy z tą, jak wtedy już zacząłem iść, to już mi zaczęło boleć trochę tam to uderzenie, o brzeg tego betonu chyba, czy coś tam. Ale doszedłem do... nie wiem, czy znacie Olsztyn, w Olsztynie jest małe jeziorko takie w mieście, a potem półtora kilometra dalej już jest olbrzymie jezioro, które jest powiązane z innymi jeziorami i tak dalej. Więc nad tym małym jeziorkiem, które jest w mieście, w ostatnim domu przy lasku mieszkał leśniczy. Leśniczy, który był nasz. Ja o tym wiedziałem, bo mnie uprzedzono, że trzeba by było jakieś tam ten, to leśniczy cię pokieruje albo podwiezie gdzieś, bo on miał motor jakiś taki. Więc ja do tego leśniczego przychodzę i do leśniczyny mówię: "Jest pan leśniczy?". Ona mówi: "Nie, nie ma. A dlaczego?". Mówię: "W pracy jeszcze pewnie?". "Nie, nie, dzisiaj nie w pracy, tylko wyjechał". "A gdzie wyjechał?". "No mają jakieś szkolenie i on jest wezwany na dwa dni". Tak się skrzywiłem jak po occie. Ona mówi: "A pan?". No ja podałem hasło. I ona mówi: "Oj, to pan teraz... To jak to będzie?". Ja mówię: "No jakoś trzeba będzie przeczekać, aż on przyjedzie. Albo mi zrobi nowe dokumenty jakieś, albo mnie podwiezie tam, gdzie trzeba, żeby mi to zrobili i żeby z tego terenu zniknąć". Ona mówi: "No tak, tak, ale...". I trzyma na ręku dziecko, dziecko ma tam niepełny roczek chyba, a dziewczynka ma ze sześć, taka mała, piękna. No ja sobie myślę: "No rzeczywiście, trudna sytuacja, ale widzi pani, gdzie indziej nie mogę pójść, bo jak się pojawię w mieście, to... A tutaj to ja nie będę u pani nocował...", tylko widzę, że tam na ogrodzie, gdzie się ogród kończy, z jednej strony to jest ścieżka tuż nad tym jeziorem, a z drugiej strony w kierunku tych bloków, budynków takich mieszkalnych, takie wille, a zaraz za nimi, za tą dróżką, jest las. "I tam, widzę, pani ma jakieś urządzenie, to kurnik jest, czy co? Tam, w narożniku? Bo ja bym tam mógł nocować, to by w razie czego od razu do lasu i trochę im zniknął, może by się udało uciec. Broni trochę mam, granaty". A ona mówi: "Skąd pan wie, że są tutaj granaty?". Ja mówię: "Rozmawiałem z leśniczym, to mówił, że ma". No ale nie powiedzieliśmy sobie, ja wtedy się nie zapytałem, gdzie one są ukryte. Nie wiem, czy ona może dlatego, że niechętnie by tam mi mówiła, czy jej mąż zezwolił na to, żeby mówić, gdzie jest kryjówka. No w każdym razie jedną noc spałem tam w tym sianie, taki kurniczek, nie był całkiem zamknięty, żebym w

razie czego mógł wyskoczyć. Od razu wiedziałem, w którym miejscu trzeba przeskoczyć przez płotek, płotek nie był wysoki. I może 10, może 12 metrów, i zaczął się lasek. Ale minęła nas na drugie... drugą noc trzeba było przenocować, bo on potem rano miał przyjechać. No to ona mówi: "A tam, przecież robi się tak chłodno, niech pan już w domu przenocuje". Ja mówię: "Ale to może...". "No pewnie, tam niewygodnie na tym sianku i zimno, tu się pan prześpi, a rano przyjedzie Włodziek". Jak ona tam imię jego podała... "To tu załatwicie sobie". Ja mówię: "No dobrze, dobrze". I proszę sobie wyobrazić, bardzo ostrożnie szedłem rano z powrotem do niej, do domu, z tej szopki, ale przez ścianę siatkową, za siatką był następny ogródek i następny dom, i tam w tym ogródku może 65, może 70-letnia staruszka grzebała się w tym. I co się okazało, to była teściowa ubowca i ona powiedziała, może nieświadomie, że tam kogoś denuncjować czy coś, tylko mówi: "O, u leśniczego to taki młody chłopak się tam kręcił". On: "Kto?". "No tak, a jak wyglądał?". Ona mu opisała, bo mnie widziała, jak ten. I co się okazuje, ja tam nocowałem, a w nocy podjeżdża samochód ciężarowy, tam te ławeczki są w środku, z tyłu, po bokach, pełny. Oczywiście o tym, czy był pełny, czy nie, to dopiero się dowiedziałem później, a teraz to mówię już, że był. Ale wtedy to oni nie podjechali pod dom. Bardzo sprytnie, zatrzymali się jakieś 100 metrów przed tym i otoczyli cały ten dom. Weszli do ogródka, jest już dość późna noc, około 11:00 w nocy i ostre pukanie. Gdyby tak normalne pukanie, to by myślała, może to mąż, czy kto, ale oni taki mają zwyczaj, może tak jest nakazane, może żeby wystraszyć, czy co, zadziałać na psychikę, boli, tak strasznie ten... I ona mówi: "Jezus Maria, co to jest, pewnie tutaj może się dowiedzieli o panu". No, to ja mówię: "Gdzie ma pani ten schowek?". A ona mówi: "W łazience, druga płytką z lewej strony, trzeba tylko podważyć. Tam są granaty i jest broń". Ale patrzę, ona ma na ręku dziecko, ta druga dziewczynka mała... I szybko tak myślę: "Jak mnie z bronią znajdą, no to jest już bez dyskusji sprawa. A tak to on jeszcze będzie mógł się bronić, że człowiek jakiś przyjechał do niego, nie wiadomo, po co, i żonie mówił, że poczeka na mnie, czy coś i jeszcze nie będzie miał takich represji, tylko jeszcze nie takie, jak ja bym był z bronią". Więc mówię: "Nie, dziękuję, nie potrzebuję broni". "Jak to nie broni?". Ja mówię: "Nie. Niech pani idzie otwierać". A, nie. Ja mówię: "Zaraz zobaczmy". Ja wyskoczę oknem, odchylam firanę, żeby okno otworzyć, a tam najnormalniej pod słońcem dwóch stoi, z jednej i z drugiej strony okna. "Chodź, chodź, skurwysynu, chodź". To ja prędko z drugiej strony, w tamtym pokoju, od tego... Tam znowu dwóch stoi. "Ha, ha, ha! Jesteś!". I tam krzyczą: "Jest, jest!". I to tam znowu walą do drzwi. Ja mówię: "Niech pani otwiera". I ona otwiera, a ja za te drzwi. I oni wszyscy do środka, "To gdzie ten skurwysyn?". [niezrozumiałe, 00:35:00] bandyta. A ona mówi: "No gdzieś tu jest". I pobiegli do środka. Ja już myślałem, że wszyscy i zza tych drzwi wychodzę, na próg i tam znowu gdzieś ogródkiem, czy gdzieś, żeby nawiać. Ale myślałem tak... Ale dobrze, szczęśliwie się złożyło, bo te gamonie byli dookoła i by mnie postrzelili, nawet zastrzelili. A

tymczasem tutaj, jak ja stanąłem tylko na progu i już mam wyskoczyć, a tu: "No chodź tu, skurwysynu!" i strzela. Ale z MP. I taki musiał być jakiś wsiowy gieroj, który się dał nabrać, że to teraz on jest ważny, bo on może rządzić, bo oni ten... Tak jak ich brali pod szesnastą stronę, tych ludzi nieświadomych. No i wtedy on pociągnął za cyngiel, a równocześnie krzyczy: "Jest tutaj!". No to wszyscy biegną do niego i on mówi: "MP mi się zaciął!". "Jeszcze tego nie było! On zawsze wysmarowany, MP mi się zacięło, to niemożliwe, ja go...". I chciał jeszcze raz, a tu wtedy podszedł już ten ich komendant, odsunął tę lufę i mówi: "Musimy go żywego dowieźć, dawaj go tutaj".

Maciej Żuczkowski: Dobrze, przerwiemy teraz na chwilę.

Konrad Strycharczyk: No i wtedy tak, jak normalnie myśliwi, jak upolują dzika, czy jakąś większą zwierzynę, to rzucają sobie tam na wóz, a oni z dwóch stron siedzą i każdy: ten kopnął w ucho, ten w zęby, tamten gdzie indziej, ten sobie nogi wytarł we mnie, tak, ja leżałem między nimi, a oni ten... I w końcu dowieźli mnie tam do UB wojewódzkiego w Olsztynie i w tym Olsztynie siedziałem w śledztwie trzy miesiące. Jurand ze Spychowa miał chociaż taką małą cegiełkę, że światło dochodziło mu dzienne, a tu ja miałem tylko "piętnastkę", a w sąsiedniej celi, kolega mówił, jak spotkaliśmy się w ubikacji, że ma "setkę" i to świadomie celowo oddziaływało na psychikę, że ciągle ta żarówka, ta żarówka, tak, że chciało się wreszcie coś zrobić, żeby mieć jakieś... ciemność i spać w ciemności. No ale to najmniejsza sprawa, bo światło... był naczelnikiem tego wojewódzkiego urzędu i na 16 wojewódzkich komend ubowskich on zasłynął najokrutniejszymi metodami gnębienia swoich więźniów akowskich. I tak się tu składa, że dałem wam płytkę, gdzie opisuję dokładnie niektóre śledztwa. To można stamtąd wziąć ewentualnie te dane, które...

Maciej Żuczkowski: A jak by mógł pan powiedzieć przykładowo, Bo był pan przesłuchiwany właśnie przez ubeków w Olsztynie, prawda?

Konrad Strycharczyk: Tak, tak.

Maciej Żuczkowski: Prawdopodobnie przesłuchiwał również pana Światło, prawda?

Konrad Strycharczyk: Nie, nie. Właśnie tak się złożyło, że nie było żadnych świadków, tylko...

Maciej Żuczkowski: Ale nie, że Światło pana przesłuchiwał. Józef.

Konrad Strycharczyk: A tak, że Światło...

Maciej Żuczkowski: Mógł pana przesłuchiwać również?

Konrad Strycharczyk: Mógł, no oczywiście, ale był jeden raz, bo okazuje się, to może ten jeden przypadek opiszę, bo pomijam to, jakie były szykany, jakie bicie w pięty, że jak bił w pięty, to [niezrozumiałe, 00:39:00] do mózgu coś tak, elektryka jakaś przechodziła człowiekowi. Innym razem te palce, innym razem z kolei siadało się na końcówce kręgosłupa i taka była metoda. Potem jeszcze innym razem posadzili mnie w narożniku, na ziemi, w narożniku, bo już nie mogłem siedzieć, tak nie miałem równowagi, osłabiony. Na ziemi, w samym narożniku i dali mi... "No głodny jesteś pewnie, tak?". "No zjadłbym, no". No to mi dali śledzia, ale nie dali pić. A potem jeden się zlitował, że przyniesie, to mi od tego śledzia tego soku przyniósł. No więc fajne było picie. I takich najróżniejszych... a najgorsza była, najgorszy był "karzec". Jak ten karzec wyglądał i jakie były bardzo przykre skutki tego, bo to była taka cela, że tam skośna była podłoga, jak się nogi wysuwały, to oni takim, co się łód rozbija, jak się to nazywa, łom, tak? Takim łomem czy czymś, zaraz po palcach. No to się człowiek cofał i ten... Ale potem, bo to był komin, normalny komin, w piwnicy, więc poniżej poziomu normalnego, a blok jest trzypiętrowy, ponad trzypiętrowy, jeszcze strych, dach i tak dalej. I ten komin tak długi, stamtąd przeciąg szedł aż do tego, nad drzwiami 10 centymetrów była przerwa, żeby się nogi wysuwały, a na cemencie się tam stało. I teraz już, jak się okazuje, że doszło do tego, że początkowo podkładałem włosy, bo już mi takie długie rosły, jeszcze chusteczkę, żeby nie dotykać ramieniem, żeby [niezrozumiałe, 00:41:11], bo tego. Potem wykluczone, żeby wytrzymać, trzeba było usiąść. To tam, gdzie mógłbym usiąść, to była podkova. I z tej podkowy wystawał hacel, ostry hacel. Jak usiąść, jak ten hacel się wbije w ciało. Kombinowałem na wszystkie sposoby. Myślałem i tak: że tu jest szef od spodni, szef wycelowałem na środek otworu i ten szef został przebity przez to dobrze. I teraz opierając się o ściany, które śliskie, z tą sadzą, brudne, zimne, tak delikatnie przysiadłem, żeby wszedł hacel do środka. I teraz nie daj Boże poślizgnąć się albo coś, no to mnie rozedrze. Więc co to był za odpoczynek, jakie to siedzenie? To nie było... Więc okazuje się, wtedy pomyślałem: "Kretynie, po co to wszystko robięś? Teraz się rozedrzysz tam". I jak tu wstać? No i znowu ten jakiś spryt życiowy, jakieś to napięcie nerwowe, tak że jakoś z tego wstałem, wpierając się, padłem na dobry wtedy pomysł, wpierając się, żeby mi nogi nie wyszły, bo on tam będzie bił po nogach i mi wszystko, całą robotę tu zepsuje z wyjęciem się z tego hacela. To ja się po bokach, przy samym brzegu tych drzwiczek, jednak miały taki brzeg i trochę się po bokach wcisnąłem łokciami i w pewnym momencie, na trzy, od razu się poderwałem. Jakoś mięśnie, nogi wytrzymały. Jeszcze wtedy tak byłem, to były najmłodsze lata jakieś wtedy. I w ten sposób taki karzec. Innym razem znowu tam tego... to przycisnął guzik, wpadło trzech takich. "Słuchajcie, przypomnijcie mu, bo on mówi, że nie może sobie przypomnieć, on nie pamięta, przypomnijcie mu to". No jak mi tam dali to przypomnienie, to mnie potem znieśli. No i wreszcie doszło do tego, że on mówi: "Nie, to tam nie ma z tobą rozmowy. Zygmunt,

chodź, idziemy na dół, przygotuj się, zabierz, co trzeba". No to on już miał inną broń, nie tę, co normalnie przychodzili, tylko miał tam jakieś... szmajser czy co to było, nie wiem. I idziemy na dół, ale jak schodziliśmy, to nie po tej stronie, co ja miałem celę i nad którą był ten na trzecim piętrze, mnie przesłuchiwali, tylko przeszliśmy na drugą stronę i do piwnic, w inny koniec bloku tego. I w piwnicy jedno piętro, drugie piętro, w dół. No ja myślałem, no to jak to tak... A oni idą dalej. Przecież to już dwa, tam było wszędzie zawsze dwa, a tutaj trzecie? No a to okazuje się, jak otworzył, to tak jak tam, gdzie szlachtują bydło, smród niesamowity, na ziemi trociny rozsypane, na ścianach dziury, otwory. I to się zorientowałem, że tu jest już rozstrzeliwanie. No więc on mówi: "Odwróć się, ręce do tyłu". Zawiazali mi znowu jakimś takim drutem, który miał też jakieś kolce, pokrwawił mnie, tam leci krew. I tak, teraz do przodu. Ja patrzę i widzę, że to już jest, on mówi: "Zygmunt, przygotuj się". Ja tutaj stoję i taki jakiś człowiek ma wtedy... taki szybki film przechodzi, matka, ojciec, jeden brat, drugi, siostra, dziewczyna. I tak do siebie mówię wewnątrz: "Panie Jezu Chryste, może nawet dobrze, że tak. To będzie szybciej już koniec. Mniej litość nade mną". I tak, taki... nagle ni stąd, ni zowąd, nie wiadomo jak to się stało, dlaczego drżenie, cały człowiek się trzęsie. No nie chciałem, chciałem tam jeszcze krzyknąć: "Niech żyje Polska!". Ale już przed tym, zanim ten okrzyk wydobyłem, to on mówi: "Słuchaj, ostatni raz się ciebie pytam, będziesz mówił czy nie?!". Ja coś tam bąknąłem. On mówi: "Nie rozumiem. Więc będziesz czy nie?!". wrzasnął na całą mordę. No i ja tak spojrzałem na niego, spuściłem głowę i mówię: "Tak". "No, wreszcie zmądrzałeś, bo przecież szkoda cię, młody jesteś. Zygmunt, chodź, rozkuj go". On mnie rozwiązał tam z tego druta, ręce krwawią. No i idziemy, i znowu idziemy, potem dwa piętra tam, parter, na drugą stronę, trzy piętra do góry, tam do tej celi, gdzie on mnie przesłuchiwał. I ja sobie pomyślałem: "Ech, ty kretynie, gdybyś mnie tam od razu pytał, jak powiedziałem, że tak, to może bym coś powiedział albo coś jeszcze zakręcił, ale teraz, jak ja już szedłem tyle, tego... to ja już doszedłem do siebie psychicznie. I on wtedy, ja znowu siadam, on światło mi w oczy, papierosa sobie. "No to słuchaj, bo wobec tego powiedz mi właśnie, jak to było wtedy, gdy"... i pyta się, a ja mówię: "Przecież panu to mówiłem już". "Jakiemu panu, jaki pan! Ja nie jestem dla ciebie pan!". "A co?". On mówi: "Towarzysz". Towarzysz... "No to mów". Ja coś tam mówię, no i tak jak poprzednio, bo znałem na pamięć każdą odpowiedź na pytanie. "To ty powiedziałeś przecież, że będziesz mówił". I jak zadzwonił, jak wpadło tych trzech znowu, jak dostałem wpierdół, to już nie dałem rady dojść do celi, to mnie ciągnęli, tylko nogi dyndały tam po tych schodach i do tej celi wrzucili. Więc tak mniej więcej wyglądały te różne śledztwa. Jedzenie to tam w puszkach po konserwie dostawaliśmy i często znajdowały się tam ciuki, czasem kapsle od piwa, czyli z tego wnioskowaliśmy, że to są zlewki, które tam mieli by... I tak się to tam... Można by było jeszcze dużo mówić na temat chleba, który tam podawali, że ja jako starszy celi miałem prawo... Aha, starszym celi, nie wiem, czy wiecie o tym,

nie jest ten, kto jest najstarszy w tej celi wiekiem, tylko starszym celi jest ten, który w tej celi jest najdłużej. No i on ma tam prawo rozdzielać chleb, bo dają cały chlebek i na chwilę ten stoi przy tobie i nożem się to kroci na tyle części, ile tu jest naszych. No i tak, a tam ja miałem taką...

Maciej Żuczkowski: A o co pana pytano w trakcie śledztwa?

Konrad Strycharczyk: A no oczywiście, gdzie jest ukryta broń, jacy dowódcy, gdzie oni są, kto jeszcze jest, kto się ujawnił, kto się nie ujawnił, a dlaczego się nie ujawnił, a gdzie teraz może być, w jakim terenie, no i tak dalej. W jakiej akcji brałem tam udział. Więc o udziale w akcji oczywiście nie pamiętałem już, bo tak nas uczono, "nie pamiętam", nie pamiętam i koniec. No oczywiście potem był wpieprz, taki dali, tu karabin przykładali, jeden, zawiązane ręce z tyłu, tu karabin, dwóch unosiło, tak że się stało tylko na palcach, a oni lali. I mieli takie nahaje z długim takim rzemykiem, na końcu była kuleczka srebrna, ołowiana, jak tak przyłożył, to już od tego nahaju też basaje były tam z parę dni, ale po tej kuleczce to się tworzyły potem takie wrzodzianki jak gdyby. I nie daj Boże, gdyby tak potem, przy następnym śledztwie, uderzył, a ta kółka w to samo miejsce by trafiła, to przecież można by zwariować z bólu albo... I potem tam się obierało, tak że to była męczarnia. Tak że jak wreszcie mnie skierowali do więzienia, to to był najpierwszej kategorii dla mnie wtedy już hotel, bo byłem w pojedynczej celi jako ten groźny, ale już na dzień nie wolno było nawet dotknąć, na noc się spuszczało takie łóżko, miał być tam niby siennik, ale to okazuje się, z tej słomy to była tylko sieczka i na tej siatce, jak się tam między te oczka ta sieczka weszła i tylko zostawał ten worek. No to ja wpadłem na pomysł i swoje spodnie tam wkładłem i na spodniach trochę spałem, to już było łatwiej wytrzymać. No i potem ta amnestia i jakoś to się udało, że...

Maciej Żuczkowski: Spotkał pan w więzieniu Światło Józefa, prawda?

Konrad Strycharczyk: Aha, w czasie tego śledztwa, w czasie jednego ze śledztw, w pewnym momencie, już tam prawie że na ukończeniu to śledztwo, czyli to już mogła być godzina 1:00, 1:30 i drzwi się otwierają, i to ostro, i wchodzi taki ten... Ponieważ ten mi świeci światło w oczy, więc ja bokiem tak widzę tylko postać, ale dokładnie twarzy, ja nie wiem, kto to, nie poznaję. Ale on tak idzie, "No to co? To co? To co on wam mówi za d... To jak wy z nim pracujecie? To po co ja was mam, to po co ja was mam?!". I tak przeszedł jeden raz, drugi raz, a ja tu siedzę, tutaj ściana i ten, tu właśnie na tej stronie, bo tam były drzwi. I raz taki niby zdenerwowany albo może był zdenerwowany i drugim razem, jak przychodził koło mnie, ni stąd, ni zowąd, tak ostro od razu, łokciem i tego zęba wybił. Ja tylko poczułem ten, splunąłem, nie ma zęba. No i okazuje się, że za chwilę, on mówi: "On teraz wam powie, on teraz wam powie! To trzeba umieć. Ja nie wiem, po co ja was mam." i poszedł, i trzasnął drzwiami. No i jak on wyszedł, to

znowu ten zawołał tych. To mi dali wycisk od nowa i tak to trwało między innymi. Wtedy zorientowałem się, bo oni jak on wszedł, to na baczność, ten, który śledztwo prowadził, a za nim weszło tych trzech i przy drzwiach na baczność stali. Czyli zrozumiałem, że to musi być albo szucha, albo komendant. Ale potem się dowiedziałem, że to jest Światło komendant. I ten Światło potem był przez Bieruta wzięty jako wzór bardzo dobrze się spisującego naczelnika, wziął sobie na ochronę osobistą do Warszawy. No ale jak on zobaczył, że Bierut pojechał do Rosji i tam go wykończyli, to tak jak to normalnie u Żydów, no Żydowina widocznie albo się przeraził, albo zrozumiał coś, no i uciekł do Ameryki.

Maciej Żuczkowski: A pamięta pan, kto z panem siedział w celi w Olsztynie?

Konrad Strycharczyk: O, to dużo ludzi było, dlatego że jak ja byłem, to ja byłem najdłużej, a tam przychodzili, odchodzili, znowu nowego wrzucali, tak jak go pchnęli, to tam mało głową nie uderzył w drugą ścianę. No i taki jeden przypadek, ale to znowu, to będzie szczegółowe opowiadanie, to za długo potrwa. Takiego starszego pana wrzucili i to "Jezus Maria, Boże kochany...". I płacze, to ja mówię: "Uspokój się pan, panie, o co chodzi?". "A, bo ja tu będę się skracał, bo ja"... "Za co pana tutaj tak?". - "Bo ja bandytów ukrywałem". - "Jakich bandytów?". "No tych od Łupaszki". "Jak to. Co Pan mówi? Jacy bandyci? To nie bandyci, to walczą przeciw, to żołnierze". "No tak, tam mój syn był z nimi, dlatego ich przyprowadził i oni u mnie nocowali, a mnie teraz... oni mnie zastrzelą". "Nie, panie, nie zastrzelą pana, niech pan weźmie pod uwagę, że ja na przykład najmniej dwa wyroki śmierci dostanę, a pan tylko... nawet niech pan posiedzi parę miesięcy, nawet rok czy dwa. To co to jest? Teraz, gdyby syn pana to słyszał, co pan mówi, to by nie chciał splunąć w tę stronę, że ma takiego ojca". I tak go wziętem potem wyprostowałem, że on się potem zrobił dzielny i ten... I on też poszedł wcześniej niż ja, ja jeszcze byłem tam dalej. Tak że dużo było różnych takich ciekawostek. Jeden przyszedł, był taki, że mówi: "Kto jest starszym celi?". To ja już wiedziałem, że to jest więzień, który dobrze siedział gdzieś tam, jak już wie, że to starszym celi musi ktoś być. No to ja mówię, że ja. "No to ja melduję panu, że ja mam syfa, więc żeby tu każdy uważał ze mną, ja nie chcę nikogo zarazić, ale jestem zarażony syfem". A oni specjalnie dają w takich puszkach, specjalnie mieszają, żeby tam... "Macie swoje puszki, czy oni dają codziennie? Bo tam, gdzie ja byłem, to dawali. To wtedy mogli dawać taką, jaką chcieli i zarażoną". A ja mówię: "No jakoś na szczęście to my mamy swoje, o, tam mamy". "O, to dobrze, to mojej nie dotykajcie". I takie byli uczciwi ludzie też, widocznie nasi. I też przejściowo, bo niektórych przywozili jako dla konfrontacji z innymi, więc on tylko był dzień, dwa. Jak tam konfrontacja się skończyła to zabierali i tam wywozili z powrotem gdzieś do Torunia, tam Poznania czy gdzie, nie wiem.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, moje ostatnie pytanie.

Konrad Strycharczyk: Tak.

Maciej Żuczkowski: Gdyby mógł pan opisać tak krótko i zwięźle, co się z panem działo po wyjściu, po opuszczeniu właśnie...

Konrad Strycharczyk: No właśnie. Po opuszczeniu, no pierwsza rzecz to była, żeby coś wkońcu, bo... Przecież człowiek młody, chciałby skończyć jakieś studia i ten. Więc poszedłem do Gdańska na medycynę. W porządku, przyjęli. Jestem już, ja się skracam, tak króciutko, na sali... Na początku, jeżeli studiowaliście, to też wiecie, że jest pełna sala, ale potem na wykład przychodzi 15, 10 albo jeszcze mniej. No i pełna, całutka taka, bo to był drugi albo trzeci wykład dopiero, bo ja trochę byłem też spóźniony, bo już rozpoczęty był rok. I wchodzi taki człowiek, jak potem się dowiedziałem, że to prorektor. I pierwsza rzecz, a tam taki gradus wysoki, jak to przed wojną, na tym stół, tam wysoko tak stoi. Rozejrzał się, mówi: "Jest tu między nami pan Konrad Strycharczyk". Nie wiem, czy on tak sobie tylko mówi do siebie, czy... "Czy jest amnestionowany Konrad Strycharczyk?". A wtedy to ja mówię: "Jestem!". A byłem akurat czwarty rząd od końca. "No, to wobec tego jako amnestionowany politycznie nie ma prawa studiów. Proszę opuścić salę wykładową". A wszędzie powiedziane było i ogłoszenie było, że na pełnych prawach, jak normalny obywatel, wszystkie przysługują prawa, więc studia też. No to ja sobie myślę: "To jak się skończy wykład, to pójdę, niech was szlag trafi". A on postawę wyczekującą. "No?!". To ja już wstałem i idę. I teraz, tak jak tam w UB była taka ścieżka zdrowia, że szło się między ubowcami, a ten kopnął w jaja, a tamten szturchnął, a tamten kluczami cię po zębach swoimi, tam jakimś... I to była taka... ścieżka zdrowia się nazywała. Tak tutaj była ścieżka zdrowia psychologiczna, Bo tam sobie ktoś: "U, patrz, bandyta z NSZ.", a tu znowu jakiś głos dziewczęcy: "Patrz, jak postępują z ludźmi, przecież amnestionowanymi.", a tam znowu, też znowu broniący. I tak, ten tutaj bije, ten, że bandyta, że zbir, a tutaj, że jak to można i tak dalej. I dopiero jak przeszedłem koło niego, myślę sobie, splunę mu tam. Ale przyszedł refleks spory, dzięki Bogu, bo to już by był powód, żeby mnie znowu zamknąć. Więc wstrzymałem się od tego, tylko spojrzałem na niego tak z politowaniem i wyszedłem wtedy szybkim krokiem. No i skończyło się. Więc wtedy dalej, gdzie studiować? A mój brat, który o cztery lata młodszy, już... ja stanąłem w miejscu, a on te cztery lata już był, on skończył już liceum i maturę, i już był na studiach tu w Szczecinie, a wtedy tu był Górski, Górski był rektorem Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego w filii z Poznania. No i ja taki zdegrustowany... A, i on mówi: "Przyjeżdżaj tutaj, to załatwimy, będziemy razem chodzili na tę jedną uczelnię". Ja sobie myślę: "No handel, to nie, ale jak zagraniczny, to niech tam będzie.", bo ja tam w życiu za biurkiem nie chciałbym pracować, tylko tak jakoś. No i tu przyjechałem i już on mnie przyprowadził tutaj i mówi: "Tu jest sekretariat, idź tam, spytaj, czy jest rektor". I od razu, ja

mówię: "Bo ja od razu rektora chcę spytać, bo jak mam mieć to znowu potem przy sali wykładowej...". I ja wchodzę tak, mówię: "Jest pan rektor?". Tak dość ostro, nieładnie. "Jest". - "A czy zajęty?". - "Nie". - "Można wejść?". - "Proszę, proszę wejść". No to ja wchodzę i też, ostro podchodzę do niego i "Proszę pana, jestem amnestionowany politycznie, chciałbym studiować tutaj, na tej uczelni". A on mówi: "Proszę pana, nie wiem, czemu mi pan mówi, że amnestionowany, bo ja, mnie to nie interesuje. Proszę bardzo, jak pan chce studiować, sekretariat jest uczelniany na dole, załatwić formalności i proszę. A jak pan nie będzie w porządku i będzie miał jakieś kłopoty z UB czy coś, no to jest to pańska sprawa, to oni pana zaaresztują i koniec. A dlaczego pan tak mówi?". Ja mówię: "Bo byłem w Gdańsku i tam rektor, prorektor właśnie mnie wyrzucił z sali, że amnestionowany politycznie nie ma prawa studiów". "Jak to?". A on akurat był właśnie od prawa specjalistą. "Jak to? Niemożliwe". Ja mówię: "No możliwe, bo tak się stało. Przecież mówię panu rektorowi". "No nie, to u mnie nie ma takich spraw, a w ogóle to ja tę sprawę gdzieś poruszę. Przecież to niemożliwe, żeby w ten sposób się z ludźmi obchodzić". No i w ten sposób ja zostałem tu na studiach, ale byłem najstarszy w rodzinie. Ojciec miał zachorowane owrzodzenie żołądka. Musiałem szukać pracy, żeby utrzymać tę całą rebiatę. No i zmieniałem pięć prac w ciągu roku. Wszędzie byli zadowoleni, dyrekcja i tam, tego... Natomiast, nie będę mówił, jakie, tylko potem po miesiącu czy raz po miesiącu, raz po dwóch, kadrowa wezwwała mnie do siebie. "Pan nic nie mówił, że pan jest amnestionowany politycznie". Ja mówię: "Bo nie potrzebowałem tego mówić, kochana pani". "Jak to nie potrzebował pan?". "No bo Bierut powiedział, że jesteśmy na takich samych prawach jak wszyscy inni obywatele". "Niech pan się nie wymądrza, tylko niech pan powie, czy pan się sam zwalnia, czy mam pana z artykułu...". Ja mówię: "Sam, sam, a kawałek papieru?". I już znałem na pamięć to, że tam... i napisałem. I dopiero jak się ostałem, Malicka Maria, która miała swój teatr przed wojną w Warszawie, tutaj była, podobnie jak wielu aktorów z Litwy, przyjechało z Wilna, tutaj u nas byli, to zainteresowała się mną. "Pan jest wyjątkowo zdolny. Pan powinien zostać u nas, tu, w teatrze. I tam pomogła mi. I Benoit też trochę mi ustawił rolę do egzaminów i pojechałem do Warszawy na egzamin aktorski. Było nas 19, zdało 9. Ja zdałem. Zdałem, taki szczęśliwy, bo tamci to byli młodszy ludzie, a ja już miałem założoną rodzinę i tam, to teraz nie zdać, to przyjechać do teatru z powrotem, bo ja już grałem, ona mnie wzięła do teatru, tylko zamiast nazwiska były trzy gwiazdki. A teraz już będę. No i potem tak było 12 lat w dramacie, ale jak powstała w Szczecinie operetka, Wajda przyjechał i zrobił tam ze swoją grupą operetkę, rozpoczął swoją pracę, to przychodził na spektakle do nas. Ja tam w "Kramie z piosenkami" robiłem, w jednym spektaklu "W kramie z piosenkami" siedem postaci. To tak, ja przychodziłem do garderoby, tylko ten wąż tutaj ścierałem, tam zakładałem nową perukę, tam ten już zdejmował mi to, garderobiany i już na scenie jako inna postać. Tak robiłem, bo takie były sytuacje, że nie można było wszystkich obsadzić, niektórzy mieli

po kilka postaci. A to Wajda oglądał i ja tam śpiewałem, między innymi "Króla Stanisława Augusta" grałem i wiele innych. A w "Kramie z piosenkami" to w ogóle dużo śpiewałem. I on któregoś dnia, ja z dyrektorem Rodziewiczem miałem taką tam scysję, o rolę żeśmy się pokłócili, ale między innymi on mówi: "Słuchaj kochany..." i mnie obejmuje, "tak zrobimy, to jak będziesz się starał, to załatwimy" i bierze się do mnie do całowania. No wkurzyłem się nieprzeciętnie, popchnąłem i tak, że zatoczył się, bałem się, że się może tam gdzieś, nie daj Boże, o kant rąbnie łbem i wyszedłem. I takie grube były na drzwiach te, przybijane takimi, obite drzwi. Nikomu nic nie mówiłem. Wszedłem do domu, telefon od Wajdy: "Panie Konradzie, pan ma kłopot z Rodziewiczem, może pan przyjdzie do mnie, ja tu potrzebuję...". Ja mówię: "Niechże pan da spokój, przecież tam pan ma takich do podnoszenia kurtyny". "O, pan jest przesadnie skromny, to przecież ja byłem parę razy specjalnie, żeby pana oglądać, pan dobrze śpiewa". Ja mówię "No ja nie wiem, czy to dobrze śpiewam, ale ja jestem aktorem dramatu przecież, mam egzaminy". "O, to tu możemy zrobić, pan będzie wydawał egzaminy także i wokalne i to będzie wszystko dobrze". A ja coś tam... a on mówi: "Proszę pana, pan jest zdenerwowany, niech pan przyjdzie jutro do mnie o 10:00, porozmawiamy". Ja na razie rzuciłem tę słuchawkę, ale w nocy i ten... "Cholera wie, no co mam robić, do niego nie wrócę już, do tego Rodziewicza, do teatru, zresztą on na pewno mnie sam wyrzuci. To poszedłem tam i oczywiście tamten z radością mnie przyjął, podwyższył tę pensję i oczywiście wygrałem na tym, dlatego że śpiewacy mający role śpiewane, aktorskie, jeżeli mają udowodnione 15 lat śpiewu, idą wcześniej na emeryturę, tak było wtedy, po 55 roku życia. No, to ja tak to wykorzystywałem, że rzeczywiście mogłem iść, ale Wajda, prosił jeszcze dyrektor, żeby, bo ja grałem sam, bez dublera, bo takim niepewnym to dawali dublera, żeby... a jak się chciało aktora trzymać i ten, to specjalnie mu się nie dawało dublera, bo on wtedy, bo nie wiem, czy wiecie, że zarabiano się także zależnie od tego, jaka była wartość aktora, to ten miał 10, ten miał 8, ten ma 11, tamten 5 przedstawień w ramach gaży, a następne już było dodatkowo płatne. Nawet była taka scysja, bo ten... w Warszawie, Bogdan Paprocki do dyrektora mówi: "No ale słuchaj, w przyszłym sezonie to mi dajesz dwa normy". On mówi: "Słuchaj, masz trzy, już mniej nie można, nie podpisze mi minister". "Nie podpisze? Napisz pismo i zgłoś. Jak ci zawetuje, to ja z nim porozmawiam. No i rzeczywiście, tam odesłał pismo, że wykluczone, że by tam, tego... No to on poszedł do Motyki, Motyka się nazywał ten minister. I rozmawia tam, a kawka to, bo tam, formalności, on mówi: "Ale czemu pan do mnie przyszedł, panie Bogdanie?". "Dlatego, że pan, panie ministrze, takie jakieś ma tutaj dziwne zagrania, że pan nie chce podpisać, żebym ja pracował w operze". "Jak to, ja chcę, tylko pan chce dwa przedstawienia". On mówi: "Tak, oczywiście". "Panie Bogdanie, no przecież to pan będzie miał dużo więcej niż ja, minister, zarabiał będzie". A ten Bogdan się zaczął śmiać i mówi: "Panie ministrze, na pewno więcej i tak musi być i tak będzie". "Jak to będzie? Ja

mam podpisać? - "Pan podpisze". - "A dlaczego?". "Bo ja panu powiem, ministrem za dwa tygodnie może być jeszcze kto inny, a za następny miesiąc nie spodoba się partii, będzie jeszcze następny i w ciągu roku może być ich trzech, czterech, pięciu. A proszę bardzo, niech pan dzisiaj idzie i zastąpi mnie na scenie w spektaklu. Zaśpiewa pan Jontka. Kto mnie zastąpi? A pana może zastąpić, w każdej chwili.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, moje pytanie, bo ostatnie już takie, pan tutaj był w Szczecinie znany przez szereg lat jako aktor, który występował między innymi w operetce, prawda?

Konrad Strycharczyk: Też, tak.

Maciej Żuczkowski: W Klubie Żywego Słowa "Czytelnik".

Konrad Strycharczyk: Tak.

Maciej Żuczkowski: A kiedy pan się ujawnił jako zaporczyk, jako żołnierz Hieronima Dekutowskiego?

Konrad Strycharczyk: Nie ujawniałem się. Ujawnianiem się było to śledztwo, które tam przeszedłem w Olsztynie. A jak byłem amnestionowany, to to wszystko automatycznie... Ale to nie znaczy, że nie byłem represjonowany. Trzy razy tak, ja już siedzę. Proces Robineau, taki był tutaj w Szczecinie, francuza, który uznany był za szpiega. Koniecznie chcieli mnie w to włączyć. I takich różnych innych, to mniej więcej... byłem zapraszany. To było tak wszystko robione w rękawiczkach, że nikt nie wiedział. Nawet nie wszystko mogłem żonie mówić i nie mówiłem.

Maciej Żuczkowski: Panie Konradzie, ostateczne pytanie jeszcze. Jak pan dzisiaj ocenia pańską walkę w zgrupowaniu "Zapory"?

Konrad Strycharczyk: Uważam, że robiłem to świadomie i z pełni wewnętrznego poczucia jako Polak. I to było moim obowiązkiem właśnie i harcerza Szarych Szeregów, i jako obywatela, jako żołnierza polskiego. I że mam czyste sumienie, że robiłem wszystko, co było można, a żeby nie zdradzić, żeby... nawet się nie ujawniałem, nie chciałem niczego. I walczyłem tak, jak przysięga mówi, a tę przysięgę tutaj mam złożoną i tu widać ją, można będzie zdjęcie zrobić tej przysięgi. Tak że aż do utraty własnego życia walczyłem. Ale jakoś Pan Bóg był łaskaw, założyłem w Szczecinie rodzinę. No i tutaj tak przez ten okres teatrów... widocznie byłem im potrzebny w teatrze, bo oni propagandę bardzo sobie cenili, a ja z konieczności musiałem grać to, co mi kazali grać, a nie zawsze to, co ja chciałem, bo mogłem grać lepsze role, ale byłem szczęśliwy, że w ogóle mam spokój i mogę wreszcie gdzieś pracować. I w ten sposób doczekałem emerytury i w 1979 roku poszedłem na emeryturę.

Maciej Żuczkowski: A kim jest dla pana, tak z perspektywy lat, "Zapora" dzisiaj?

Konrad Strycharczyk: Dzisiaj jest dla mnie najcenniejszym wodzem, jakiego miałem, bo było kilku, bo przeszło i u "Ojca Jana", tylko tam miałem mniejszą styczność i kontakty, dlatego że za młody byłem, żeby być jakoś bardziej doceniany niż po prostu jakiś łącznik tylko. I w wielu innych przypadkach konspiracyjnych znałem ludzi, z którymi współpracowałem, to nigdy tak pięknie się nie pracowało i tak pewnie siebie, że ktoś za mnie jakkolwiek też mogę zginąć, tak jak i on faktycznie, to dobrze stara się ustawić wszystkie sprawy walki i to likwidowanie utrwalaczy władzy, to było najbardziej cenne, ale i trudne, to daje mi dużo satysfakcji. Tym bardziej, że jakkolwiek teraz jestem żołnierzem wyklętym, to gdyby przez swoje umiejętności, bardzo umiejętności, dobrze już doświadczone oszukiwanie i fałszowanie wyborów przeszła SLD, to będę znowu żołnierzem wyklętym.

Maciej Żuczkowski: A czy pana zdaniem "Zapora" może być dzisiaj, czy jest, czy może być, wzorem dla młodego pokolenia?

Konrad Strycharczyk: Jak najbardziej, oczywiście. No, "Zapora" zdecydowanie, nie tylko "Zapora", ale i inni, ale on szczególnie przez swoich... w swoim młodym wieku, a swoim doskonałym wykształceniu i przy takiej pracy, jaką kontynuował w lesie i opiekował się swoimi podwładnymi, zasługuje na najwyższe uznanie, na najwyższe uznanie i dlatego wydaje mi się, że już generałem chyba jest i powinien zostać mianowany do stopnia generała, i służyć w historii nie tylko najbliższej, ale po wielki, dłuższy czas jako wzór do naśladowania, jako patriota i człowiek niezłomny w walce z nieprzyjacielem, z okupantem, jednym, drugim, czy którym.

Maciej Żuczkowski: Moja ostatnia jeszcze prośba na koniec. Czy mógłby pan przypomnieć, jak brzmiała ulubiona piosenka, tak jak pan wspominał, ulubiona piosenka "Zapory", czyli "Wilki żerują po lesie"? "Wilki żerują po lesie Wicher po...", "po morzach" normalnie się śpiewa, ale myśmy śpiewali "Wicher po lasach nas niesie Wódka i gin na stosach lin Słowa zamieniają się w czyn. Za nim nas oddadzą w moc kata Za nim się stanem pastwą drwin Wychył do dna Niech moc piekielna wina Przez żyły gna Całuj do krwi Gdy słodka twa dziewczyna Da usta ci Wino to radość i śmiech A kochać się w dziewczynie - najśłodszy grzech Tylko o rozkoszy myśl Bo tyle szczęścia, ile dziś". I tu jak graliśmy już w operze i Gomułka przyszedł i rozluźniła się trochę atmosfera, to szybko zorganizowany został spektakl "Dziś do ciebie przyjść nie mogę" i tam śpiewałem także między innymi piosenkę, która chyba z przyjemnością będzie też teraz słuchana. "Moja mała, do widzenia już, Jeszcze raz buzi daj, A wywalczę ci kraj, Piękny kraj pełen zbóż. Więc bogata będziesz, że aż strach, Ja przy tobie jak król, W domku drobnym jak ul, Będę śpiewał ci tak:

Moja mała otrzymaj, Będę listy pisać ci, Na wojence nie jest źle, Moja mała, moja mała, Moja mała, moja mała, Mój ty śnie. Więc bogata będziesz, że aż strach, Ja przy tobie jak król, W domku drobnym jak ul, Będę śpiewał Ci tak: Moja mała, otrzymaj, Słyszysz, szumią morza trzy, Wiatr po górach, w polu wiatr, Moja mała, moja mała, Moja mała, moja mała - to mój dar". No, gardło już troszkę przyschło, za dużo mówienia.